



JENNIFER GREENE



Upał w Arizonie

ROZDZIAŁ PIERWSZY



Co za potworny upał! Spiekota, dławiący, lepki skwar. Kansas McClellan, krzywiąc się ze wstrętem, machnęła dłonią, odpędzając bzyczącego koło jej szyi owada.

Minęła ledwie doba, odkąd znalazła się w południowej Arizonie. Wystarczająco długo, żeby ją znienawidzić. Na nogach czuła strużki potu. Długa wędrówka boleśnie nadwreżyła mięśnie łydek; a ze swoją typową dla rudowłosych delikatną cerą, Kansas absolutnie nie tolerowała tak piekielnego słońca.

W maju Minnesota była najcudowniejszym miejscem pod słońcem. Kwitnące bzy i żonkile. Mnóstwo chłodnych, czystych jezior. I nie skąpiących cienia lasów.

Kansas pomyślała, że za skrawek cienia sprzedałaby w tej chwili swoją duszę. Prawdopodobnie nabawi się udaru słonecznego, zanim ta przygoda dobiegnie końca. A już na pewno na jej skórze pojawią się piegi. W zbyt wielkim pośpiechu szykowała się do podróży, żeby pamiętać o takich drobiazgach jak parasol czy okulary przeciwsłoneczne. W żółtych szortach i bawełnianej bluzce na ramiączkach - już skąpiej ubrać się nie mogła - czuła się jak w wojennym rynsztunku. Na krótką chwilę pograżyła się w błogiej, upajającej wizji: wyobraziła sobie, jak całkiem naga pływa w chłodnym górskim jeziorze.

To marzenie było chyba nawet bardziej podniecające od seksu. Niestety, ulotniło się równie szybko jak większość mężczyzn, z którymi Kansas miała do czynienia.

Niemal w tym samym momencie, kiedy skręciła na prawo, pojawiło się coś jeszcze bardziej ekscytującego. Tuż przed sobą zobaczyła cień, prawdziwy cień... i dom z niskim dachem.

Kiedy jakiś czas temu parkowała wypożyczony samochód przed wejściem do Rezerwatu Kanionu Mile Hi Ramsey, nie miała pojęcia, ani że czeka ją aż tak długa wędrówka, ani że tak niespodziewanie zmieni się krajobraz. Nagle, zamiast płaskiej, jałowej pustyni - drzewa. Wokół zrobiło się zielono. Zauważyła zamknięte drzwi do budynku i wzniosła błagalną prośbę do losu o klimatyzowane pomieszczenie.

Zapominając o upale, rzuciła się pędem w kierunku domu i kilka sekund później była w biurze rezerwatu. Zaciągnęła się łapczywie chłodnym powietrzem.

Jedno szybkie spojrzenie na tłum turystów w markowych sportowych ubraniach wystarczyło, by zrozumiała, że pasuje do tego miejsca jak wół do karocy. Jej przesadnie jaskrawe szorty pochodziły z wyprzedaży w tanim butik. Połowę holu w kształcie litery L zajmowały stoiska z folderami, albumami i literaturą fachową na temat środowiska naturalnego regionu, w którym znajdował się rezerwat. Kansas czytywała najchętniej książki o miłości.

Poczucie odmienności rzadko bywało dla niej życiowym problemem. Mając dwadzieścia dziewięć lat, zdążyła się z nim zżyć się jak z parą wytartych dżinsów. Tylko kilka razy żałowała, że nie ma naturalnej zdolności przystosowywania się do otoczenia - tak było i teraz. Wiedziała

bowiem, że sama nie zdoła odnaleźć swojego młodszego brata w tej cholernej Arizonie.

Kiedyś wolałaby się raczej zapaść pod ziemię, niż przyznać, że oczekuje od kogokolwiek pomocy. Jako dziecko była odważna, uparta i chorobliwie dumna. Jednak słono za to zapłaciła i nie zamierzała powtarzać starych błędów.

Czekając w kolejce do informacji, zauważyła, że do rezerwatu wpuszczane są tylko małe grupy turystów. Z rozmów stojących przed nią młodych ludzi z energiczną strażniczką wynikało, że każdego roku na wiosnę do kanionu przylatują ogromne ilości kolibrów, a w tym sezonie jest ich jeszcze więcej niż zwykle.

Kansas zacisnęła nerwowo zęby. Nie miała nic przeciwko miłośnikom ptaków, ale było już po trzeciej, a ona miała mało czasu.

Kiedy w końcu dzieciaki dowiedziały się wszystkiego i nadeszła jej kolej, zawahała się, nie wiedząc, jak sformułować pytanie. Młoda kobieta o okrągłej twarzy zmierzyła ją przenikliwym wzrokiem i odezwała się pierwsza.

- Zgubiłaś się, prawda? - zapytała rozbawionym, ale nie pozbawionym życzliwości tonem.

- Nie, niezupełnie... Wiem, że to zabrzmie dziwnie, ale szukam mężczyzny...

- Jak my wszystkie - mruknęła kobieta.

- Ale ja - Kansas zaśmiała się - przynajmniej w tej chwili, próbuję odnaleźć konkretnego faceta, weterynarza. Niejakiego doktora Moore'a. Paxtona Moore'a. Od rana próbuję się do niego dodzwonić, ale odpowiada tylko automatyczna sekretarka. Nagrał wiadomość, że jest tutaj, w rezerwacie.

- Doktor Moore? Pewnie, że tu jest.

Z rozpromienioną nagle twarzą kobieta wytłumaczyła Kansas, którą ma iść. Niestety, najpierw trzeba zawrócić do głównego szlaku. A potem przejść jeszcze kilka kilometrów. Koszmar.

Szła jak skazaniec, tracąc poczucie czasu i odległości, ale w końcu znalazła go. Siedział pochylony nad wyjątkowo dorodnym okazem szopa pracza i opatrywał zranioną łapę zwierzaka.

Kansas delikatnie zakasłała.

- Czy to pan nazywa się Moore?

- Tak. Proszę poczekać, zaraz skończę - odpowiedział bez śladu zaskoczenia w głosie i nawet kątem oka na nią nie spojrział.

Była zadowolona, że kazał jej czekać. Miała czas na złapanie oddechu, na to, żeby przestać dyszeć i sapać - no i chciała mu się przyjrzeć.

Może i był weterynarzem, ale jakoś nie mogła sobie wyobrazić doktora Moore'a wysługującego się hodowcom pudli.

Miał chyba niewiele ponad trzydzieści lat, a typ urody musiał odziedziczyć po indiańskich przodkach: kruczoczarne grube włosy związane w koński ogon, bardzo śniada cera, pociągła mocna twarz o grubych, wyrazistych rysach.

Był szczupły, ale znoszony granatowy T-shirt niemal pękał w szwach na muskularnych ramionach i torsie. Mimo nieznośnego upału Kansas nie zauważyła na czole doktora nawet kropli potu, a jego wielkie dłonie opatrywały szopa z wprawą i cierpliwością. Zdawał się całkiem nie przejmować faktem, że zwierzę zdradzało objawy coraz większego niezadowolenia.

Zbudowany jak gladiator, pomyślała Kansas, a tak niewiarygodnie delikatny wobec rannego stworzenia. Obydwa spostrzeżenia podniosły ją na duchu. By ratować swojego brata, w razie potrzeby zwróciłyby się o pomoc do samej Godzilli. Kansas rozpaczliwie potrzebowała kogoś, kto mógłby jej pomóc. Tylko jak prosić o wsparcie tego zupełnie obcego mężczyznę?

Skończył wreszcie zakładać opatrunek i uwolnił szopa. Obserwował jeszcze przez kilka minut, jak wystraszone zwierzę wstaje niepewnie na cztery łapy i powoli dochodzi do siebie. W końcu spojrzał na Kansas.

- Masz do mnie jakąś sprawę?

- Tak. Jeżeli jest pan doktorem Moore'em...

- Mam na imię Pax - odrzekł i wstał z ziemi.

Z wrażenia wstrzymała oddech. Może gdyby się wspięła na palce, czubkiem głowy sięgałaby mu do brody. Spojrzawszy w jego oczy, pomyślała o nurkowaniu nocą w głębokim, ciemnym jeziorze, tak czarne i przepastne się wydawały. I zniewalające. Chyba żadna kobieta na świecie, choćby miała powyżej uszu wszystkich mężczyzn - a Kansas już od roku skutecznie unikała osobników obdarzonych chromosomem Y - nie oparłaby się ich urokowi. Jedno spojrzenie w takie oczy mogłoby skłonić kobietę do przebudzenia się ze śpiączki.

- Pax - powtórzyła, wyciągając do niego rękę. - A ja jestem Kansas McClellan. Od chwili kiedy wylądowałam w Sierra Vista, wszędzie słyszę, że jesteś jedyną osobą, która może mi pomóc.

- To brzmi podejrzenie. Albo ktoś mnie przecenia, albo chce obrazić. Raczej nie zasługuję ani na jedno, ani na drugie. - Uśmiechnął się i zmierzył ją badawczym wzrokiem. - O co chodzi? Chory zwierzak?

- Nie. Zaginiony brat.

Nie musiała się specjalnie wysilać, żeby wyczytać z jego wzroku, co sobie pomyślał. Wiedziała, jakie robi na ludziach wrażenie: krucha, słaba kobieta, obawiająca się własnego cienia, oczekująca od innych wsparcia i opieki. Większość mężczyzn oceniała ją tak na pierwszy rzut oka, a wyprowadzanie ich z błędu wymagało tyle czasu, nerwów i cierpliwości, że w końcu miała tego dosyć. Postanowiła wykreślić facetów ze swojego życia i unikać ich jak ognia.

Teraz jednak musiała zapomnieć o dumie. Co za ironia losu! Po raz pierwszy w życiu Kansas marzyła o tym, żeby mężczyzna dał się zwieść jej wyglądowni. Jeżeli Pax weźmie ją za delikatną, słabą kobietę, może będzie bardziej skory do pomocy.

- Mój brat nazywa się Case Walker. Jesteśmy przyrodnim rodzeństwem, stąd różne nazwiska, ale zawsze byliśmy ze sobą zżyci jak bliźnięta. Boję się o niego. Dlatego przyleciałam tutaj z Minnesoty. Case ma dziewiętnaście lat i nie jest podobny do mnie - niebieskie oczy, brązowe włosy, raczej przystojny i dosyć masywny...

- Znam go.

- To dobrze. - Poczula się, jakby zdjęła z ramion ciężki plecak. - Miałam nadzieję, że go znasz, bo wspomniał w kilku listach o tobie. Pewni ludzie opowiedzieli mi, że byłeś dla niego życzliwy i pomogłeś mu...

- Dlaczego martwisz się o niego?

- Bo od kilku tygodni nie mam od Case'a żadnych wieści. Nie odzywa się do nikogo z rodziny. Chociaż, gdyby miał się odezwać, to zwróciłby się tylko do mnie. Od kilku lat mój brat zachowuje się niezbyt odpowiedzialnie, z rodziną ma raczej na pieńku. Jakoś nie może znaleźć swojego miejsca w życiu, ale tak naprawdę jest wspaniały, ma dobre serce...

- Uciekał przed czymś, kiedy tu dotarł.
- Po prostu nie dojrzał jeszcze do tego, żeby zapuścić korzenie.
- Powiedzmy. Skoro zniknął z pola widzenia, może znów go dokądś pognało. Masz jakiś szczególny powód, żeby się martwić?
- Odkąd wyjechał, regularnie do mnie pisał. Raz w tygodniu.

Dzwonił też od czasu do czasu. A od trzech tygodni nic, nie mam od niego żadnej wiadomości.

- Rozumiem. Ale to wciąż nie jest konkretny powód do zmartwienia. Mógł się skrzyknąć z jakimiś kumplami i wybrać się w podróż.

- On ma kłopoty.
- Jesteś tego pewna?
- Tak.
- Skąd o tym wiesz?

- Stąd, że go kocham - odpowiedziała z irytacją i zamierzyła się na krążącego wokół jej głowy owada. Doktor Moore ze swoim racjonalnym podejściem do życia zaczął wyprowadzać ją z równowagi. - Znam swojego brata jak nikt na świecie. Może uznasz to za szaleństwo, ale zawsze wyczuwałam, kiedy Case był w tarapatach. Nie wiem, czy stała mu się jakaś krzywda. Wiem tylko, że coś jest nie tak, że dzieje się coś naprawdę niedobrego i ktoś musi mi uwierzyć...

- Uspokój się - powiedział Pax znacznie łagodniej. - Nie powiedziałem, że ci nie wierzę. Zadałem tylko kilka prostych pytań. Ale wciąż nie wiem, czego się po mnie spodziewasz.

- Miałam nadzieję, że wiesz, gdzie jest Case. Albo pomożesz mi go znaleźć.

- Nie wiem, gdzie on jest. Owszem, zauważyłem, że od kilku tygodni nigdzie się nie pokazuje. Ale, jak sama przyznałaś, twój brat jest trochę lekkomyślny i raczej nieprzewidywalny.

- To dwie różne rzeczy - odparła stanowczo.

- Skoro tak twierdzisz...

- Przyjechałam do miasta wczoraj wieczorem. Nie znając tej okolicy ani jego znajomych, pomyślałam, że najprostsze, co mogę zrobić, to zapukać do jego sąsiadów. Ale nikt nic nie wie. Nikt go nie widział. Jedynym punktem zaczepienia byłeś ty, bo Case wymienił w liście twoje nazwisko. I tamci sąsiedzi powiedzieli mi, że jeśli ktoś może coś wiedzieć, to tylko ty. I że często organizujesz wyprawy poszukiwawcze - gdy ktoś się zgubi w tutejszych kanionach, jacyś turyści albo... cholera, przez tę parszywą spiekotę w ogóle nie można myśleć!

No i kto by przewidział, że dopiero ta rozpaczliwa skarga wywoła uśmiech na jego twarzy? I to nie jakiś blady grymas, ale promienny, czarujący, prawdziwy uśmiech. A więc... doktor Moore nie jest z kamienia.

- Mam wrażenie, że nie bardzo ci się podoba nasza pustynna kraina. - Pax odpiął od paska u spodni manierkę i podał ją Kansas.

- Nigdy więcej nie będę narzekać na zamiecie śnieżne w Minnesocie.

- Odkręciła zakrętkę i łapczywie wypila kilka łyków ciepłej wody. Pysznej, uzdrawiającej i cudownie mokrej. Żaden nektar nie smakowałby lepiej. -
Dzięki. Uratowałeś mi życie.

- Sądzę, że przeżyłabyś jeszcze kilka minut - odparł kpiąco, przypinając manierkę do pasa - ale na przyszłość warto zapamiętać, że podróżując w takim klimacie, należy zawsze mieć przy sobie zapas wody.

- Gdybym wybierała się na urlop, pojechałabym na Alaskę. Ostatnio czułam się tak okropnie, kiedy rozłożyła mnie grypa. Ale to się pewnie

nazywa zdrowe powietrze? Ileż to razy czytałam, że w suchym klimacie nie odczuwa się upału. Co za kłamstwo. Kompletna bzdura. Nawet paznokcie mnie pieką.

- Na początku to normalne. Trzeba trochę czasu, żeby przystosować się do tutejszych warunków.

- W moim przypadku nie wchodzi to w grę. Oczywiście nigdy nie byłeś rudy, więc trudno ci to zrozumieć... ale mnie słońce nienawidzi. I nic nie można na to poradzić. Nie sądzę, żeby potrafiono instalować klimatyzację na otwartej przestrzeni.

- Raczej nie.

- W takim razie sprawa jest beznadziejna. Możesz mnie uznać za miastową ciamajdę, ale ja i południowa Arizona nie jesteśmy dla siebie stworzone.

Kansas kiwała bezradnie głową, natomiast Pax wybuchnął długim, gardłowym chichotem. A niech to... Nie zamierzała aż tak szarżować, ale to naprawdę działało. Wystarczyło tylko uczciwie przyznać, że jest się w oplakanym stanie i trochę się powyglupiać, żeby ten sztywniak się ożywił i przestał być taki ponury. Jeżeli rozbroiło go zwykłe poczucie humoru i szczerłość, pomyślała z nadzieją, istnieje szansa, że jakoś się dogadają. Nigdy nie umiała znaleźć wspólnego języka z ludźmi pozbawionymi poczucia humoru.

- Nie musisz przecież zamieszkać tu na stałe - pocieszył ją Pax.

- Masz rację. Zostanę tak długo, dopóki nie znajdę brata. Ani chwili dłużej. Ale nie mogę... - Uciekła jej myśl, kiedy kątem oka zauważyła, jak coś błyszczącego przemyka nad jej głową. Chociaż ornitologia nie była jej hobby, doskonale wiedziała, jak wygląda koliber. Tylko że nigdy dotąd nie spotkała takiego okazu.

Mijała po drodze rozmaite drzewa i krzaki, ale w przeciwieństwie do głębokiej zieleni lasów Minnesoty, tutaj wszystko było wyblakłe od słońca, poszarzałe i spłowiało-zielone, dlatego prawdopodobnie ten mały ptak przyciągnął jej uwagę. Był tak jaskrawo, krzykliwie kolorowy. Nie większy od jej zamkniętej dłoni, żwawy ptaszek szybował w powietrzu jak tańczący derwisz, nurkując i krążąc coraz szybciej w kółko, jak gdyby całe niebo było polem jego harców. Miał ciemny dziób i głowę, ale szkarłatnoczerwone, połyskujące w słońcu upierzenie szyi wyglądało jak obróżka ze szlachetnych kamieni.

Pax odwrócił głowę, żeby zobaczyć, co ją tak zaciekało.

- To Anny.

- Chcesz powiedzieć, że ten ptak należy do kogoś, kto ma na imię Anna?

- Nie, to nazwa gatunku. Koliber Anny. Calypte Anna. Mniej więcej o tej porze roku przylatuje do kanionu kilkanaście gatunków tych ptaków. Głównie w maju. Kolibry nazywa się tutaj klejnotami nieba.

- Ten rzeczywiście wygląda jak ozdobiony szlachetnymi kamieniami. - Kansas przesłoniła dłonią oczy. - Czy one wszystkie latają w ten sposób? Jak pijani kamikadze?

- Nie zawsze. - Pax zaśmiał się. - Na którymś z tych drzew musi siedzieć samiczka, przed którą ten kawaler się popisuje.

- No tak, hormony. Nie ma na nie mocnych, prawda? Jedyna pewna rzecz, która potrafi ogłupić wszystkie bez wyjątku ziemskie stworzenia. - Nie mogła oderwać oczu od pięknego kolibra. - Słuchaj, za moment ten mały szalenciec rozbije się o ziemię i będzie po nim.

- Z każdym innym ptakiem pewnie tak by się stało. - Pax pochylił się, żeby zebrać przybory lekarskie. Zamiast tradycyjnej czarnej torby

używał turystycznego plecaka. - Zajmuję się wszystkimi zwierzętami, ale tego, do czego są zdolne kolibry, nie sposób logicznie wytłumaczyć. Jakby nie dotyczyły ich podstawowe prawa fizyki.

- Mówisz poważnie? A czym się one różnią od innych ptaków?

- Po pierwsze, fachowcy od aerodynamiki twierdzą, że przy takiej budowie ciała i skrzydeł kolibry w ogóle nie powinny latać, a przecież robią to znakomicie. Poza tym są mikrusami w ptasim królestwie. Mają najmniejszy korpus, ale proporcjonalnie największą rozpiętość skrzydeł, co jest zaprzeczeniem innego prawa fizyki, które opisuje zależność masy od proporcji ciała. Zoolodzy powiedzieliby ci również, że budowa anatomiczna kolibrów nie pozwala im na zawisanie w powietrzu, a one potrafią bardzo długo unosić się nad kwiatami - i robią to świetnie. Te maleńkie ptaszki sprawiają wrażenie kruchych i delikatnych, lecz mają dużą wprawę w dokonywaniu rzeczy niemożliwych. Rzecz w tym, że robią to na swój własny sposób i kpią sobie z wszelkich reguł.

Dopiero gdy koliber zniknął z pola widzenia, Kansas odwróciła głowę. Zdziwiła się, że Pax stoi obok niej, spakowany, jakby gotowy do drogi. Ale nie poruszył się. Patrzył na nią tak intensywnie badawczym wzrokiem, że gdyby nie ten straszny upał, dostałaby chyba gęziej skórki.

- O co chodzi?

- O nic. Pomyślałem sobie właśnie, jak często pozory mylą. Coś mi się wydaje, że ty też nie jesteś entuzjastką surowych zasad i ściśle wytyczonych szlaków.

- To źle ci się wydaje. - Uniosła wysoko kasztanowe brwi. - Po pierwsze, kocham zasady, a po drugie, jestem taka, na jaką wyglądam. Myślałam, że widać to jak na dłoni. Jestem typową niedojdą z miasta. Tchórzem i mięczakiem. Nie potrafię żyć bez klimatyzacji.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Dlatego próbuję przekonać cię, jak bardzo potrzebuję pomocy w odnalezieniu brata. Sama sobie po prostu nie poradzę. Nie ma cudów.

Pax zameldował się w biurze rezerwatu, a potem podwiózł Kansas zakurzonym terenowym dżipem do niewiarygodnie odległego miejsca, w którym zaparkowała wypożyczony samochód.

- Dzięki - powiedziała łagodnie i wyskoczyła z kabiny, ale nie odeszła od razu, tylko skrzyżowawszy ręce, stanęła przy otwartym oknie. - Jutro wieczorem o siódmej, tak? I wiesz na pewno, gdzie mieszka mój brat?

Ta kobieta, pomyślał Pax, jest niemożliwa. Świętego namówiłaby do grzechu, gdyby się tylko uparła.

- Wiem, gdzie mieszka twój brat. Trafisz stąd do miasta?

- Wątpię. - Uśmiechnęła się rozbrajająco. - Ale nie martw się. Żebym nie wiem jak długo błądziła, jutro o siódmej będę gotowa do drogi. I jeszcze raz dziękuję za to, że zgodziłeś się mi pomóc.

Pomaszerowała w kierunku czerwonej hondy, zanim Pax zdążył wyprowadzić ją z błędu: wcale nie zgodził się jej pomóc. Zgodził się tylko porozmawiać o jej bracie. A tak naprawdę nie pamiętał, czy w ogóle cokolwiek jej obiecał.

Przyjrzał się jej uważnie. Była tak filigranowa, że nie zajęło mu to dużo czasu. Nogi miała zgrabne, ale krótkie. Kolor skąpych szortów i bluzki był tak krzykliwy, że wyrwałby człowieka z głębokiego snu. Mimo figury, w której z trudem mógł się dopatrzeć kobiecych kształtów, Kansas poruszała się z niebywałym wdziękiem. Miała ognistorude kręcone włosy i delikatną kremową cerę, dlatego łatwo mógł zrozumieć jej niechęć do

słońca. Ale po co nosiła na pustyni długie, dyndające kolczyki - tego już pojąć nie był w stanie.

Nie znajdował żadnego wytłumaczenia, dlaczego ta kobieta zrobiła na nim tak piorunujące wrażenie.

Pax zawsze miał słabość do kobiet, i w wieku trzydziestu dwóch lat mógł śmiało powiedzieć, że z wzajemnością. Najbardziej podobały mu się wysokie dziewczyny z nogami „do szyi”, ale nie przywiązywał do urody zbyt wielkiego znaczenia. Ważniejszy był temperament. Wybierał kobiety, które, podobnie jak on, lubiły naturę i przestrzeń, były łatwe we współżyciu, pogodne i spokojne.

A Kansas McClellan była równie spokojna jak wąż grzechotnik.

Począł, aż odjedzie i dopiero wtedy uruchomił silnik. Nie mógł za nią pojechać, bo został wezwany do chorych zwierząt, upewnił się więc przynajmniej, że skręciła we właściwą drogę.

Pax wyniósł ze swojego rodzinnego domu przekonanie, że rolą mężczyzny jest chronić kobiety. Kansas, rudowłosa i zwariowana, sprawiała wrażenie istoty równie słabej i kruchej jak pewien rzadki okaz kwiatów kaktusa. A wszyscy w okolicy wiedzieli, że Pax nigdy nikomu nie odmówił pomocy.

Jeżeli jednak nie dowie się czegoś więcej o całej sprawie, być może tym razem nie będzie w stanie tej dziewczynie pomóc. Już od dłuższego czasu podejrzewał, że Case brnie w poważne kłopoty. I szczerze wątpił, by Kansas potrafiła dogadać się z ludźmi, z którymi zadawał się jej młodszy brat. Groziło jej poważne niebezpieczeństwo.

Pomachała mu, patrząc we wsteczne lusterko i skręciła w kierunku Hill Road. Patrzył, jak jej samochód podskakuje na wybojach, rozpędzając się z wariacką szybkością na szutrowej drodze i właściwie nie był tym

widokiem zaskoczony. Znowu powrócił myślą do kolibrów, które o tej porze roku przylatują do kanionu - tak małe, tak hałaśliwe i niespokojne. Lecz wcale nie takie bezradne, na jakie wyglądają.

Nagle zdał sobie sprawę, że sam jest dziwnie niespokojny; jakiś wewnętrzny głos mówił mu, że powinien mieć się na baczności przed Kansas.

Zaklął pod nosem i włączył radio. To prawda, ta dziewczyna miała w sobie coś, ale należała do tego typu kobiet, które nigdy go nie pociągały. Nic mu z jej strony nie groziło. Jego obawy były tak absurdalne, że aż się roześmiał.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kansas po raz dziesiąty wyjrzała przez frontowe okno mieszkania, które wynajmował jej brat. Za dziesięć siódma. Było zbyt wcześnie, by się martwić, że Pax nie przyjedzie, ale ona nie potrafiła zapanować nad nerwami.

Nawet jeżeli nie pomoże jej odnaleźć Case'a, świat się przecież nie zawali. Będzie musiała poszukać innego wyjścia. Zawsze sobie jakoś radziła. Tylko że tym razem naprawdę nie miała pojęcia, do kogo innego mogłaby się zwrócić o pomoc.

Nie mogąc usiedzieć na miejscu, weszła do łazienki, żeby sprawdzić swój wygląd. Przeglądała się w lustrze zaledwie pięć minut temu, więc istotnej zmiany nie zauważyła. Świeżo umyte włosy były wciąż tak samo fantazyjnie zwichrzone, bo dla utrwalenia efektu spryskała je lakierem. Błyszczące kółka w uszach i na nadgarstkach pasowały do tej fryzury jak

ulał, podobnie jak wysadzany świecidełkami pasek u szortów i szmaragdowozielona, zwiewna bluzka.

Kansas wyglądała, a przynajmniej taką miała nadzieję, jak bezradna gąska, naiwna i lekkomyślna panienska z miasta, bez grama oleju w głowie...

I nagle ruszyło ją sumienie. To nieładnie wykorzystywać własny wygląd, by manipulować innym człowiekiem. W Paksie odkryła tylko jedną słabość: ogromne poczucie honoru, która to cecha u większości mężczyzn zanikła już bezpowrotnie. Wydawało się, że swoją profesję traktował nie tylko jako zawód, ale przede wszystkim jako powołanie. Do diabła więc z zasadami, nie pora na skrupuły. Los Case'a był ważniejszy od bzdurnych wyrzutów sumienia.

Swoją drogą, pomyślała, wcisnąwszy dłonie w kieszenie szortów, cała sytuacja nie jest pozbawiona komizmu. Nie cierpiała mężczyzn, którzy traktowali ją jak bezradne dziecko. I proszę, co za ironia losu: teraz sama, z własnej woli, grała przed Paxem rolę ciamajdy i głuptasa. Ale życie jest zbyt skomplikowane, by wszystko dało się wytłumaczyć na „zdrowy rozum”. Doświadczyła tego w bolesny sposób na własnej skórze.

Mimowolnie wróciła pamięcią do wypadku samochodowego, któremu uległa w wieku czternastu lat. Była wtedy naiwnym podlotkiem z głową pełną marzeń. I nagle cały jej świat runął w gruzy. Podczas długich miesięcy rekonwalescencji dręczyła ją świadomość, że stała się bezradną kaleką, ale jeszcze bardziej bolało ją to, że będzie ciężarem dla bliskich. W miarę upływu czasu powoli odkrywała różnicę między prawdziwym poczuciem godności a fałszywą dumą.

Wiedziała, że nigdy, przynajmniej w obecnym wcieleniu, nie będzie silna fizycznie, ale w życiu nie to miało największe znaczenie. Prawdziwą

siłę - siłę charakteru - uzyskujemy na skutek pełnej akceptacji własnej osoby. Wtedy, gdy jesteśmy w pełni świadomi zarówno swoich możliwości, jak i ograniczeń. I nigdzie nie jest powiedziane, że kobieta wyglądająca na mimozę nie może być twardsza od stali.

Usłyszawszy pukanie do drzwi, Kansas odruchowo przycisnęła rękę do żołądka. Kobieta ze stali, myślała z ironią, nie powinna z byle powodu wpadać w popłoch.

I rzuciła się do drzwi. Gdy tylko Pax wszedł do środka, przypomniała sobie, skąd to nagłe ściskanie w dołku. Nawet najtwardsza na świecie kobieta nie pozostałaby obojętna wobec uroku tego mężczyzny.

Miał na sobie dzinsy i batystową koszulę. Kruczoczarne, po kąpieli jeszcze wilgotne włosy, związał w koński ogon skórzanym rzemykiem. Serce Kansas zaczęło bić jak oszalałe i w żaden sposób nie mogła nad tym zapanować.

- Wejdz, proszę. Tak się cieszę, że jednak przyszedłeś - powiedziała z radością.

- Powiedziałem przecież, że przyjdę. - Stał wyprostowany, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów. Oględziny zajęły mu kilkanaście sekund, po czym, wyraźnie odprężony, uśmiechnął się, zatrzymując spojrzenie na jej spieczonym od słońca nosie.

- Widzę, że trochę odżyłaś po dzisiejszym upale.

- Tak, na szczęście wieczory są tu dość chłodne.

Powiedziała sobie w duchu, że wcale nie jest rozdrażniona. Miły, swobodny uśmiech był dokładnie tym, czego od Paxa oczekiwała. Błyski w oczach i czarujące spojrzenia wyraźnie nie należały do jego repertuaru. I bardzo dobrze! Nie miała zamiaru go uwodzić ani swoim strojem, ani żadnymi sztuczkami. Grała spanikowaną panienkę po to, żeby wzbudzić w

nim współzucie. Liczył się tylko Case. Do niczego innego nie miała teraz głowy.

- Mam jakieś wino i krakersy, ale, szczerze mówiąc, chciałabym ci najpierw coś pokazać. Nie miałam czasu posprzątać, więc dom jest w takim stanie, w jakim go zastałam wczoraj. Myślę, że zrozumiesz, dlaczego tak bardzo martwię się o brata.

- Kansas, ja nie wiem, czy będę w stanie ci pomóc.

- Oczywiście. Rozumiem to. Ale przyjechałam tu zupełnie, jak to się mówi, w ciemno. Nie znam tego miejsca, nie mam pojęcia, od czego zacząć. W najgorszym wypadku liczę przynajmniej na to, że naprowadzisz mnie na jakiś ślad, podsuniesz jakiś pomysł.

- Spróbuję. - Nagle spowaźniał i zmarszczył czoło. - Powiedz mi więc, czy dom był zamknięty, kiedy tu przyjechałaś. W jaki sposób dostałaś się do środka?

Mogła mu opowiedzieć, jak wspięła się po ułożonych jedna na drugiej walizkach i wyważyła łomem okno. Obawiała się jednak, że jeśli przyzna się do takiej pomysłowości, a więc i do tego, że bez skrupułów potrafi włamać się do cudzego domu, Pax nie będzie zbyt skory do pomocy.

- Drzwi były zamknięte, co mnie na początku trochę uspokoiło. To znaczy pomyślałam sobie, że Case po prostu na jakiś czas wyjechał. Ale kiedy weszłam do środka...

Zaczęła oprowadzać Paxa po wszystkich kątach, próbując pokazać to, na co sama zwróciła uwagę, kiedy oglądała mieszkanie po raz pierwszy. Case nie na wiele mógł sobie pozwolić. Dom, który wynajął, był więcej niż skromny: cztery pokoje, nie otynkowane ściany z cegły, posadzka z

terakoty. Kuchnia miała rozmiary wnęki na garderobę, a rolę stolika do jedzenia pełnił wąski blat.

- Musiałam tu posprzątać. Case zostawił w zlewozmywaku stertę brudnych talerzy z pozasychanym jedzeniem. Nigdy nie dbał przesadnie o porządek, ale nie zostawiłby kuchni w takim stanie. W lodówce znalazłam zepsute mleko i jakąś napoczętą konserwę... - Pokręciła głową. - Może planował jakiś wyjazd, ale nie na tak długo. Nie na trzy tygodnie.

- Robienie planów na przyszłość nie leży chyba w naturze Case'a.

- Wiem, że jest trochę... narwany. Ale zostawił tu taki bałagan, jakby wyszedł na chwilę po gazetę. Tylko popatrz...

W przylegającej do kuchni wnęcie stały pralka i suszarka, bardzo już wysłużone. Kansas pokazała Paksowi uprane i odwirowane rzeczy w pralce, których Case nie przełożył do suszarki. Potem zajrzeli do jedynej w domu łazienki. Wszystkie przybory toaletowe leżały przy umywalce: pasta do zębów, maszynka i krem do golenia, dezodorant.

- Przecież wzięłby to ze sobą, gdyby wybierał się gdzieś na dłużej.

- Zgoda, wszystko wskazuje na jakąś nie planowaną podróż. Ale to wciąż nie znaczy, że przydarzyło mu się coś złego. Kansas, weź po uwagę, że twój brat wciąż jest jeszcze dzieciakiem. Mogło mu coś nagle strzelić do głowy i ostatnią rzeczą, o której pomyślał, było zmywanie naczyń czy suszenie prania.

Mówił głosem, który kojarzył się Kansas z dotykiem aksamitu: miękkim, delikatnym, kojącym. Na pewno wiele zranionych zwierząt uspokajało się, słysząc ten głęboki, seksowny baryton, który jednak na jej skołatanie nerwy podziałał jak nieprzyjemny zgrzyt. W jaki sposób zdoła dotrzeć do Paxa, jeśli on tak bagatelizuje jej przecucia?

- Może kiedy zobaczysz sypialnię... - powiedziała z rozdrażnieniem i tak raptownie zatrzymała na środku przedpokoju, że Pax omal na nią nie wpadł. - Nie, sypialnię możemy sobie darować.

- Dlaczego?

Dlatego, że zostawiła tam swoją rozrzuconą bieliznę i ubrania. Ponadto nie chciała, żeby oglądał nie posłane łóżko - i bez tego była wystarczająco rozdygotana.

- Bo w salonie mam ci ważniejsze rzeczy do pokazania.

- Dobrze - odpowiedział tak łagodnie, jakby zwracał się do przerażonej myszy.

Tak, Kansas naprawdę była przerażona. Chodziło nie tylko o ten dziwny niepokój, który wzbudzał w niej Pax. Znow dopadł ją paniczny lęk o Case'a. Przydarzyło mu się coś niedobrego. Wiedziała o tym z całą pewnością.

Z gardłem ściśniętym ze strachu podeszła do przeszklonych drzwi i wskazała palcem stojące na podłodze doniczki z uschniętymi roślinami.

- Widzisz? Wszystkie są zasuszone... i to jest kolejny dowód na to, że Case nie zamierzał tak długo być poza domem. Swoją drogą, to jakieś dziwne zielsko... Wygląda jak pospolity chwast. Zresztą nie wyobrażam sobie Case'a hodującego jakiegokolwiek rośliny. Nigdy nie miał zacięcia do takich rzeczy. Więc to mnie już naprawdę przybiło, a poza tym ten list...

- Jaki list?

Zerknęła na spłowiałą kanapę, a potem na stary, porysowany regał na książki. Pokój był urządzone jak w typowym domu do wynajęcia - wszystko w beżach i brązach. Właściwie Kansas nie potrafiła wyjaśnić Paxowi, dlaczego opanował ją strach, kiedy po raz pierwszy tutaj weszła. On nie znał jej brata. Nie tak dobrze jak ona.

Case zawsze przedkładał zabawę nad rozmyślania o sensie życia. A tu, gdzie nie spojrzeć, piętrzyły się książki z dziedziny religii i filozofii. W oknie wisiał witrażowy pentagram; na jednej z półek leżał tybetański młynek modlitewny. Może te przedmioty zostawił poprzedni lokator, bo Kansas nie była w stanie uwierzyć, że Case miał jakiegokolwiek pojęcie o znaczeniu tych symboli. Wszystkie plakaty na ścianach przedstawiały niesamowite, surrealistyczne sceny, ponure i mroczne, zupełnie nie w guście jej brata. A przynajmniej nie w guście brata, którego znała.

Najbardziej jednak zaniepokoił ją list, który znalazła na zniszczonym sosnowym biurku. Był nie dokończony, adresowany do Kansas, z datą sprzed trzech tygodni. Podniosła białą kartkę z uczuciem tak panicznego niepokoju, że ledwie mogła oddychać.

- Case za nic nie zostawiłby nie dokończonego listu. Zaadresował go do mnie. Pisze o jakiejś dziewczynie, Serenie. Wspominał o niej już wcześniej, ale nie wiem, jakie ona nosi nazwisko. Wyznaje też, że znalazł w końcu swoje miejsce w życiu. Drogę, którą zamierza podążać i że to dla niego bardzo ważne... ale na tym list się kończy. Nie mam pojęcia, o co tu chodzi.

Odwróciła się, żeby podać kartkę Paksowi, lecz on w ogóle nie podszedł do biurka. Pochylony nad doniczką, wachał i rozgniatał między palcami liście dawno uschniętych roślin.

- Znasz to zielsko? - spytała. - Wiesz, jak się nazywa?

- Chyba tak. Myślę, że to datura. Roślina często spotykana na pustyniach. Niektórzy nazywają ją „chwastem z Jamestown”.

- Ale po co on, do diabła, miałby hodować chwasty? - zapytała, kompletnie zbita z pantafelów i nagle wstrzymała oddech. - Tylko mi nie mów, że to coś w rodzaju marihuany.

Nigdy w to nie uwierzę. Mój brat ma wiele wad, jest może trochę narwany i nieodpowiedzialny, ale w gruncie rzeczy to porządny chłopak. Nigdy nie ciągnęło go do trawki czy innych imprezowych narkotyków...

- Kansas, prawo nie zakazuje tego zażywać. I nie jest to imprezowy narkotyk.

Właśnie to chciała - i spodziewała się - usłyszeć, powinna więc odczuć ulgę. Tymczasem jej serce znów łomotało jak oszalałe. Pax wyprostował się, podszedł do niej i sięgnął po kartkę.

Kiedy czytał list Case'a, ona śledziła wyraz jego twarzy. Mimo że nie należał do ludzi łatwo zdradzających swoje emocje, odniosła wrażenie, że coś go wreszcie naprawdę poruszyło. Zakładała od początku, że tylko dlatego zgodził się z nią spotkać, bo zagrała rolę bezradnej, oczekującej pomocy kobiety, a sprawa Case'a niewiele ma tu do rzeczy.

Pax ponownie przejrzał treść listu, zachowując niemal nienaturalny spokój. Kiedy skończył, jeszcze raz spojrzął na rośliny w doniczkach.

- O co chodzi? - spytała cicho. - Ty o czymś wiesz.

- Mówiłem ci - odezwał się po chwili wahania - że nic nie wiem.

Poznałem Case'a w restauracji, tego samego dnia, kiedy pojawił się w mieście. Był bez grosza i nie miał gdzie nocować. Zaproponowałem, żeby zatrzymał się na jakiś czas u mnie i popracował w gabinecie chirurgicznym, dopóki nie odłoży trochę pieniędzy. Potem znalazł ten dom i dostał pracę w sklepie. Czasem wpadał, żeby pogadać o wszystkim i o niczym. To tyle, Kansas. Nie zwierzał mi się jak bratu...

- Ty coś wiesz - powtórzyła, nie spuszczając wzroku z jego twarzy. - Powiedz mi. Chodzi o te rośliny?

Kiedy znów się zawahał, poczuła, że nerwy odmawiają jej posłuszeństwa.

- Do diabła, Pax, czy ty naprawdę nie rozumiesz, że ja umieram ze strachu? Jeżeli domyślasz się, gdzie on jest lub co się mogło z nim stać...

- Posłuchaj, może usiądziemy na chwilę. Nie chciałem cię zdenerwować. Powiem ci wszystko, co wiem. Ale porozmawiamy o tym spokojnie, dobrze?

- Zgoda - odparła... i nagle przeraźliwie wrzasnęła.

Pax zdążył się już zorientować, że Kansas jest równie nieobliczalna jak dzika kotka, ale jej rozdzierający krzyk wprowił go w osłupienie. I jak gdyby dotychczasowych wrażeń było mało, nagle rzuciła mu się w ramiona.

Objął ją mocno. Nie był to przemyślany gest, lecz odruchowa, typowo męska reakcja. Zachowałyby się identycznie wobec każdego słabszego od siebie stworzenia: kobiety, dziecka czy zwierzęcia - bez różnicy.

A jednak istniała zasadnicza różnica. Mianowicie: gdy tylko Pax poczuł zapach tulącej się do niego dziewczyny, natychmiast zawrzała w nim krew. Kansas pachniała nie jakimiś słodkimi, banalnymi, kwiatowymi perfumami, ale ostro, zmysłowo, niepokojąco oryginalnie. I ten zapach był zgodny z jej naturą. Pax wiedział o tym.

Nie spodziewał się po sobie tak burzliwej reakcji. Nie wobec tej kobiety. Nie z nią. I nie miało znaczenia, że od pewnego czasu żył w seksualnej abstynencji. W całym swoim dorosłym życiu Pax unikał materiałów wybuchowych i niepotrzebnych kłopotów - a Kansas od pierwszego spojrzenia kojarzyła mu się z jednym i drugim.

Jej sztywne od lakieru włosy łaskotały jego podbródek; niedorzeczne, sięgające do ramion klipsy zaczęły się o kołnierz jego koszuli. Nagle, ponad głową Kansas, dostrzegł powód jej histerycznego

wrzasku. Po podłodze sunęła wyjątkowo kosmata, pomarańczowo-czarna tarantula.

Tętno natychmiast wróciło mu do normy i mało brakowało, a zaczęłby się śmiać. Nie ze strachu Kansas, ale z tego, jak zareagowała na widok „ptasznika”. Zdążył już wyrobić sobie opinię na temat jej kobiecej impulsywności. Powinien był już więc wiedzieć, że ta dziewczyna, zamiast tracić czas na omdlewanie ze strachu, będzie głośno krzyczała.

- Nie bój się - przemówił do niej łagodnie. - To tylko pająk.

- Nazywasz to pająkiem? Ja widzę potwora, wystarczająco dużego, żeby zabić nas oboje! Jak można mieszkać w tym okropnym miejscu? Nie zmrużę oka przez tydzień!

- Zajmę się nim, jeśli mnie puścisz.

- Zwariowałaś? Wybij to sobie z głowy! - Ale po tak nedorzecznym stwierdzeniu odwróciła głowę i znów krzyknęła na widok tarantuli.

- Rozumiem, że nie masz ochoty zaprzyjaźnić się z pająkiem, ale on cię na pewno nie zaatakuje. Gdybyś zechciała się uspokoić choć na dwie sekundy...

- Uspokoić?! Nienawidzę pająków i pełzających robali! Boże, zlituj się! Przez rok będzie mi się śniło to paskudztwo!

Pax otworzył usta, żeby jak najłagodniej jeszcze raz przemówić - i natychmiast je zamknął.

Kansas, nie przestając piszczeć, wyrwała się z jego objęć. Wciąż wydając z siebie przeraźliwe jęki, przebiegła pół pokoju, chwyciła złożoną gazetę i nadal krzycząc, zgarnęła na nią tarantulę, rzuciła się do okna i wypuściła nieszczęsnego pająka na zewnątrz.

Potem odwróciła się i dramatycznym gestem przycisnęła dłonie do piersi.

- Chyba dostanę zawału.

Pax podrapał się w brodę. On też się obawiał, że serce Kansas może nie wytrzymać nadmiaru emocji. Gdyby dała mu tylko szansę, wyjaśniłby jej, jak bolesne bywają ukąszenia tarantuli. Zająłby się też pajakiem, gdyby z prędkością błyskawicy nie zrobiła tego sama.

Jak na kogoś, kto z zapałem przedstawia siebie jako tchórza i niezdare, Kansas poradziła sobie nadzwyczaj dobrze.

A może po prostu nie była taka, za jaką się uważała.

- Pewnie myślisz, że jestem nierozgarniętą histeryczką - mruknęła i spojrzała na niego z ukosa.

Istotnie, ta myśl przyszła mu do głowy.

- Prawdę mówiąc, to bardzo rozsądne bać się tarantuli... podobnie jak kilku innych stworzeń, które żyją w tych okolicach. Większość z nich nie zasługuje aż na tak złą opinię, jaką mają o nich ludzie, ale ukąszenie tarantuli może być bardzo nieprzyjemne w skutkach. Lepiej więc uważać i trzymać się od tych pajaków z daleka.

- O niczym innym nie marzę. Nawet gdyby miało mi to zająć całą noc, przeszukam tu każdy kąt.

Pax milczał. Jakoś nie wydawało mu się, żeby Kansas, mimo przerażonej miny, liczyła na czyjąkolwiek pomoc. Przyszło mu nawet do głowy, że ta kobieta ma zwyczaj w każdej sytuacji radzić sobie sama. Zerknął jeszcze raz na jej przezroczystą bluzkę, rude loki, niebieskie oczy i śmieszna tanią biżuterię, którą obwiesiła się nie wiadomo po co...

- Pax, czy mogę poczęstować cię winem? Ta ohydna tarantula wyprowadziła mnie z równowagi, ale miałam nadzieję, że opowiesz mi coś o moim bracie.

- Nie przepadam za winem. - Spojrzał na zegarek. - Poza tym robi się późno. Mam umówioną wizytę na szóstą rano.

- Nie chciałam ci zająć tak dużo czasu - powiedziała ze skruchą Kansas.

- Daj spokój, przyszedłem tu z własnej woli. - Przede wszystkim Pax chciał uniknąć rozmowy o jej bracie. Od dawna przeczuwał, że Case wplątał się w coś podejrzanego. To, co pokazała mu teraz Kansas, zaniepokoiło go jeszcze bardziej.

Ale podejrzenia to jeszcze nie fakty. Zresztą nawet gdyby miał pewność, nie wiedziałby, jak powiedzieć o tym Kansas. Ta dziewczyna była bezgranicznie lojalna wobec swojego brata. Pax mógł Case'owi tego tylko pozazdrościć. Ale jeśli ta zwariowana, dziecinnie naiwna panienka z miasta spróbuje wtykać nos w sprawy, o jakich nie ma zielonego pojęcia, może się znaleźć w sytuacji kłopotliwej... a nawet niebezpiecznej.

Odprawdzając go do drzwi, nie odezwała się ani słowem. Zerknęła tylko kątem oka na jego twarz, a Pax miał dziwne wrażenie, że ta kobieta gotowa jest zatrzymać go siłą, ogłuszyć jakimś ciężkim przedmiotem i związać liną, jeśli nie powie jej czegoś o bracie.

Kiedy otwierał drzwi, patrzyła na niego z bezgraniczną ufnością. Zrobiło się ciemno. Światła Sierra Vista rozjaśniały niebo od północy, ale w pobliżu nie było ani latami, ani ruchu na drodze, nie słychać było żadnych odgłosów. Tutaj nic nie zakłócało uroku wiosennej nocy. Powietrze było rześkie i przejrzyste, przesiąknięte odurzającym zapachem pustyni, a srebrny księżyc w pełni wydawał się być niewiarygodnie wielki.

Pax wciąż czuł na sobie wzrok Kansas. Wątpił, czy zauważyła księżyc albo doceniła urok tej nocy, wątpił nawet, czy spostrzegłaby

trzęsienie ziemi - i ciężko westchnął. To jasne, że myślała tylko o swoim bracie.

- Mam bardzo nietypowy rozkład zajęć - odezwał się wreszcie. - Nie jestem weterynarzem pracującym od gwizdka do gwizdka, w godzinach przyjęć. Gabinet służy mi tylko do zabiegów chirurgicznych, a większość dnia spędzam w terenie. Zawsze mam przy sobie telefon komórkowy, żeby ludzie mogli się ze mną skontaktować. Czasami pracuję cały dzień, na okrągło, i jak już powiedziałem, naprawdę nie wiem, gdzie jest twój brat. Jedyne, co mogę dla ciebie zrobić, to pojeździć z tobą po okolicy i pokazać ci kilka miejsc, w których bywał Case.

- To byłoby cudowne - powiedziała Kansas z żarem w głosie i promiennym uśmiechem na twarzy. - Właśnie na taką pomoc liczyłam, na nic więcej. Wiem, że to dla ciebie kłopot i naprawdę jestem ci bardzo wdzięczna... Chciałabym ci oczywiście zapłacić...

- Tutaj ludzie nie przejęli jeszcze obyczajów, które panują w wielkich miastach. Sąsiad nadal pomaga sąsiadowi. Pieniądze nie mają z tym nic wspólnego. - Pax wyjął z kieszeni kluczyki do samochodu. - Jutro będę wolny nie wcześniej niż o trzeciej po południu.

- Świetnie - ucieszyła się Kansas.

Nie był pewien, czy będzie świetnie. Niczego nie był pewien poza tym, że za każdym razem, kiedy spoglądał na Kansas, czuł się tak, jakby dostawał obuchem w głowę.

Odsunęła się na bok, żeby Pax mógł otworzyć drzwi do dżipa. Jednak nie od razu wsiadł do środka.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł się przy kimś zakłopotany. Swoje pełne imię Paxton skrócił do Paxa, bo łacińskie znaczenie tego zdrobnienia - pokój - było bliskie jego usposobieniu. Miał aż nazbyt burzliwe

dzieciństwo, dlatego cenił sobie spokój. Wierzył, że to, co naprawdę liczy się w życiu, sprowadza się do kilku prostych rzeczy. O ile, oczywiście, ktoś był zwolennikiem spokojnej egzystencji.

W przypadku Kansas nic nie wydawało się mu się być proste. W tej chwili stała tuż obok i patrzyła na niego łagodnym, sarnim wzrokiem. W świetle księżyca, w przezroczystej, cienkiej jak mgiełka bluzce wyglądała prowokująco i seksownie, a zarazem sprawiała wrażenie istoty wyjątkowo kruchej i nieporadnej.

A przecież pokonała samotnie taki kawał drogi, żeby ratować brata. I widział na własne oczy, jak ta wystraszona chudzina poradziła sobie z tarantulą, choć powinna raczej skamienieć z przerażenia. To wszystko nie miało sensu.

- Jeżeli chcesz tu stać przez całą noc - rzekła, uśmiechając się zaczepnie - to nie ma sprawy. Mnie się nie spieszy. Ale patrzysz na mnie tak, jakbym miała usmolony nos.

- Nie masz usmolonego nosa.

- Może myślisz o czymś, co ma związek z moim bratem? Jeżeli jest coś, co chciałbyś mi powiedzieć...

- Nie myślałem o twoim bracie. - Pax zastanawiał się gorączkowo, w jaki sposób rozszyfrować tę nieprzewidywalną kobietę. Postanowił dowiedzieć się, jaka jest naprawdę.

Mogłyby jej grozić poważne kłopoty, gdyby niewłaściwie ocenił jej wady i zalety, dając się zwieść pozorom.

Zależało mu tylko na prostych, jednoznacznych odpowiedziach na kilka pytań. Nie przypuszczał jednak, że będzie miał ochotę ją pocałować.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kansas nie poruszyła się, kiedy zrobił krok w jej kierunku. Zobaczyła, że wyciąga do niej rękę i poczuła na policzku muśnięcie jego dłoni. Ale Pax miał taki wyraz twarzy, jakby wcale o niej nie myślał. Ze ściągniętymi surowo brwiami zdawał się rozważać jakiś poważny problem.

Nawet kiedy się pochylił, do głowy jej nie przyszło, że zamierza ją pocałować. Nic tego zapowiadało. Nie było między nimi wymownych, kokieteryjnych spojrzeń, żadnych zachęcających gestów. Jeżeli intuicja jej coś podpowiadała, to raczej to, że Pax ma do niej taki stosunek jak do młodszej siostry - kapryśnej i trochę denerwującej, ale przysparzającej wyłącznie takich problemów, jakie miewa się z rodzeństwem.

Dotknął wargami jej ust w przelotnym, delikatnym pocałunku. Równie szybkim jak leciutki podmuch wiosennego wiatru.

Serce jej załomotało, ale wciąż stała bez ruchu. Była kompletnie zaskoczona. Nie miała bladego pojęcia, co skłoniło Paxa do tego gestu. Równocześnie jednak nie odczuwała najmniejszego niepokoju ani cienia obawy, że mogą z tego wyniknąć jakieś komplikacje. Wszyscy mężczyźni, których dotąd знаła, traktowali ją jak figurkę z porcelany. Nie miała do nich o to żalu; jej drobna postura prowokowała takie reakcje, a swojego wyglądu nie mogła przecież zmienić. Przywykła do ostrożnych, delikatnych muśnięć i już dawno straciła nadzieję, że wreszcie ktoś pocałuje ją z szaloną, nieokiełznaną namiętnością.

Pax wsunął dłonie w jej włosy, zmuszając Kansas do odchylenia głowy. Na ułamek sekundy jego czarne oczy utonęły w jej źrenicach, a potem znów ją pocałował. Tym razem na pewno nie jak siostrę.

Ogień buchnął w jej żyłach. Zdrętwiała w szoku i podkuliła palce u nóg. Pax nawet jej nie trzymał - tylko jego duże i silne dłonie obejmowały jej twarz. Całował Kansas z żarem i zachłannością, a jej wydawało się, że jego wargi poparzą jej usta.

Odruchowo uniosła ręce. Zaciśnęła palce wokół jego nadgarstków, nie po to, żeby go powstrzymać. Musiała się tylko o coś wesprzeć, żeby nie stracić równowagi. Niewinnie blada księżycowa noc nagle eksplodowała bajecznymi kolorami. Kansas straciła dech w piersi.

Spodziewała się, że Pax będzie ją traktował jak wszyscy inni. Mężczyźni, z którymi miała do czynienia, całowali ją... z szacunkiem. A on był jak wielki, wygłodniały niedźwiedź. Samotny i dziki. Nie widziała jego twarzy, czuła tylko przyspieszone tętno, słyszała chrapliwy dźwięk wydobywający się z jego gardła. Całował ją z zapamiętaniem, jakiego nigdy przedtem nie doświadczyła.

Przecież ja go nawet dobrze nie znam, upomniał ją głos rozsądku. Kto to widział, by tak bez namysłu rzucać się w ramiona zupełnie obcego mężczyzny. Powinna go ostudzić i przywołać do porządku. A gdyby okazało się to zbyt trudne, najrozsądniej będzie wziąć nogi za pas.

A jednak nie uciekła. Całował ją namiętnie, coraz gwałtowniej, nie dając czasu do namysłu. Smakował jak niebezpieczny, zakazany owoc... Ostatnim wysiłkiem woli puściła jego nadgarstki, na ułamek sekundy jej dłonie zawisły w powietrzu, a potem objęła go mocno w pasie.

Niczym nie potrafiła usprawiedliwić swojej reakcji, w każdym razie nie w racjonalny sposób. Z logiką zawsze była trochę na bakier, a serce jej podpowiadało, że zna Paxa od zawsze. Być może trafił swój na swego. Być może wystarczy spotkać równie samotną i niezależną osobę jak my

sami, by uświadomić sobie, jak dzika i rozpaczliwa jest nasza tęsknota za drugim człowiekiem.

Emocje wzięły górę nad rozsądkiem i do żadnych „być może” nie miała teraz głowy. Po raz pierwszy w życiu odwzajemniła pocałunek mężczyzny z takim oddaniem... i z taką rozkoszą. Wyczuwała w Paksie ukryte pragnienie, które poruszyło jej serce. I uznała to za cud. Miała dwadzieścia dziewięć lat, a nikt dotąd nie poruszył jej serca. Nie tak!

Wspięła się na palce. Jej pobudzone aż do bólu piersi ocierały się o tors Paksy. Światło księżyca na jego twarzy, ciepło jego skóry, naprężone mięśnie nóg, jego podniecenie - nigdy tak intensywnie nie odczuwała bliskości mężczyzny.

Powtarzała sobie w duchu, że powinna być przerażona. Aż do dzisiaj nie miała pojęcia, że pożądanie może być tak gwałtowne. A jeżeli był to obłęd i czyste szaleństwo, czekała na taką chwilę przez całe życie. Dlaczego, do diabła, miałyby się bać czegoś tak cudownego i potężnego! Drżeli w swoich objęciach, jak gdyby byli jednym rozpalonym ciałem i nic poza nimi nie istniało.

Jednak nawet najbardziej magiczne chwile kiedyś się kończą. Ze zduszonym jękiem Pax odrzucił w tył głowę i dysząc, z trudem chwycił ustami powietrze, jakby wynurzył się spod wody po długim nurkowaniu. Następnie chwycił Kansas za ramiona i odsunął ją od siebie.

Jeżeli wymuszony fizyczny dystans miał ostudzić lub uspokoić Paksę, wyglądało na to, że cel nie został osiągnięty. Spojrzał błędnym wzrokiem na księżyc. Potem zerknął na Kansas i jeszcze raz głęboko zaczerpnął powietrza.

- Kansas... ja nie chciałem, żeby to się stało. Cholera! Nie wiem, co mi strzeliło do głowy.

Wciąż miała kłopot z utrzymaniem równowagi i podobnie jak on z trudem łapała oddech. Ale w przeciwieństwie do Paxa doskonale wiedziała, co się stało. Całował ją jak straceniec, wyssał z niej ostatnie soki, a ona nie pozostała mu dłużna.

- W porządku - powiedziała łagodnie. - Nic się stało.

- Ładne mi nic. Przepraszam.

- Nie masz mnie za co przeproszać.

- Ja... Nigdy bym... Cholera! - powiedział znowu i założył ręce na szyję. - Przepraszam, że się tak na ciebie rzuciłem. I nie chcę, żebyś pomyślała, że to się może powtórzyć. Nie powtórzy się, obiecuję.

Kansas uświadomiła sobie, że Pax jest wytrącony z równowagi. Ona często traciła nad sobą panowanie, na przykład na widok myszy, podejrzewała jednak, że jemu zdarzało się to niezmiernie rzadko. Nie wiedział, co powiedzieć, nie miał żadnego pomysłu, jak wybrnąć z kłopotliwej sytuacji. Obawiała się, że jeszcze długo będzie tak sapał i wygłaszał niezdarne formułki przeprosinowe, bogato okraszone kolejnymi „cholerami”. Chyba powinna przejąć inicjatywę.

- Posłuchaj, naprawdę nie ma sprawy - powiedziała cicho. - Zdziwiłam się, kiedy mnie pocałowałeś. Chyba oboje byliśmy tym zaskoczeni. Ale ludzie oddają się temu szczególnemu hobby od zarania dziejów... - Uff, liczyła chociaż na uśmiech Paxa, ale nic z tego. - Nikt nie robi z tego problemu, w porządku? Żadne z nas nie jest ani złe, ani obrażone. Po prostu nic się nie stało. A poza tym jest późno, jak sam zauważyłeś. Życzymy więc sobie grzecznie dobrej nocy. Zobaczymy się jutro.

Nie musiała mu tego dwa razy powtarzać. Niczym spłoszony mustang, Pax cwałem ruszył do samochodu. Chwilę później Kansas z ponurą miną patrzyła, jak światła terenowego dżipa znikają w oddali.

Serce łomotało jej w piersi, rozbiegane myśli przyprawiały o ból głowy, a na ustach wciąż czuła smak tego nieszczęsnego pocałunku.

To był tylko pocałunek. Chwila czułości z mężczyzną, który wyraźnie żałował tego, co zaszło. To wydarzyło się w miejscu, w którym Kansas nie planowała zostać na dłużej. A skoro nie istniała najmniejsza szansa na utrzymanie tej znajomości, nie było się czym przejmować.

Nie przejmowała się. Po prostu nikt przed nim tak na nią nie podzielał. Zanim całkowicie dała sobie spokój z mężczyznami - co, według Kansas, było najmądrzejszą decyzją, jaką kiedykolwiek podjęła - łóżko służyło jej nie tylko do spania. Ostatnim jej kochankiem był Hal i wspominała go z sympatią. Może miała dość nietypowe zahamowania, ale zawsze peszyła ją własna nagość, a Hal był miły, delikatny, dobrze wychowany. Nieznośnie zaborczy, lecz intymna strona ich współżycia nie pozostawiała nic do życzenia. Tak przynajmniej sądziła aż do dzisiaj.

To niesamowite, żeby w wieku dwudziestu dziewięciu lat odkryć, że jeden mężczyzna może całkowicie zmienić nasze wyobrażenie o tym, czym jest prawdziwa namiętność: Jeżeli Pax ją przestraszył, było to najrozkoszniejsze uczucie strachu, jakiego doznała.

Kansas nie zwykła widzieć góry tam, gdzie był tylko kreci kopczyk. Prawdopodobnie dla nich obojga ten pocałunek był po prostu ulotną chwilą szaleństwa.

Ale ona nie potrafiła przejść nad tym do porządku dziennego.

Wróciła do domu, próbując skoncentrować myśli na przygotowaniach do snu. Miała złe, bardzo złe przeczucie, że zakocha się w Paksie. Nic dobrego by z tego nie wynikło. Ani dla niego, ani dla niej.

Na ostatnim zakręcie drogi prowadzącej do domu Case'a Pax spojrzął na zegarek. Punkt trzecia!

Pomyślał, że tym razem spotkanie z Kansas będzie znacznie łatwiejsze, bo wiedział już mniej więcej, z kim ma do czynienia. Może i jest trochę niepozbita i mało zaradna, ale cechowała ją straceńcza odwaga. Niejeden mężczyzna mógłby jej tej cechy pozazdrościć.

Ta kobieta była kompletnie pozbawiona instynktu samozachowawczego, który ostrzegałby ją przed kłopotami albo niebezpieczeństwem. Trzeba skoczyć z samolotu bez spadochronu - proszę bardzo, dla Kansas to żaden problem. Pogłaskać niedźwiedzia grizli? Świetna zabawa! Paść w ramiona prawie obcemu facetowi z nieskrępowaną namiętnością, otwarcie kusić go, żeby posunął się tak daleko, jak tylko ma ochotę... Niech ją diabli! Czy chociaż zaświtało jej w głowie, że powinna go jakoś pohamować?

Pax zatrzymał się na podjeździe przed domem, wyszedł z samochodu i zamknął z hukiem drzwi. Poczł przyjemne ciepło na ramionach. Słońce działało na niego kojąco. Od piątej rano był na nogach. Wiosną, gdy cielilo się bydło, zawsze miał więcej pracy. Przed wyjazdem z rancza Hernandeza wziął prysznic, nie musiał więc wracać do domu, ale wciąż bolały go mięśnie i z przyjemnością wyciągnąłby się na dziesięć minut na wygodnej kanapie.

Gdyby jeszcze udało mu się wyrzucić z pamięci wczorajszy wieczór... Tak, czuł się winny, bo to on sprowokował ten nieszczęsny pocałunek. Ale on miał ochotę tylko na niewinnego buziaka. Do głowy mu

nie przyszło, że aż tak się zagalopują. Chciał poddać Kansas małej próbie, sprawdzić, jak zareaguje na niespodziewaną sytuację, na swego rodzaju stres. Więc jak to się stało, że tak szybko stracił nad sobą panowanie?

To była jej wina! Wyłącznie. Tylko że oskarżanie Kansas w najmniejszym stopniu nie poprawiało mu samopoczucia. Pax nie zwykł otwierać się zbyt szybko przed obcymi ludźmi. A już na pewno nie miał zwyczaju rzucać się na kobiety jak rozjuszony byk. Był dorosłym mężczyzną, o wiele za starym na to, by pozwolić hormonom wziąć górę nad zdrowym rozsądkiem. Jego zachowanie w stosunku do tej kobiety wydawało mu się czymś niepojętym. To nie miało prawa się wydarzyć.

Otworzyły się drzwi frontowe... i Pax z trudem uspokoił nerwy. Przyczyna jego kłopotów wypadła na zewnątrz, wyrzucając z siebie potok słów i oślepiając melanzem jaskrawopomarańczowych kolorów swojego stroju.

- Cześć, Pax! Ale jesteś punktualny. Poczekaj, poczekaj, zapomniałam o torebce... i może lepiej zamknę drzwi na klucz. Tylko co ja mogłam zrobić z tym kluczem...

Pax potarł dłonią twarz, kiedy zniknęła na chwilę w domu w poszukiwaniu torebki, klucza i diabli wiedzą czego jeszcze. Poprzedni wieczór musiał być jakąś surrealistyczną fantazją, wytworem chorej wyobraźni, czymś, co w połowie zmyślił albo wyolbrzymał. To była Kansas z pierwszego spotkania. Przykład zjawiska zwanego „czystą kobiecością”.

Wróciła z uśmiechem od ucha do ucha, z przewieszoną przez ramię workowatą torbą. Nigdy nie widział tylu pierścionków i bransolet na jednej parze rąk, a tego, w co się ubrała, nie potrafił nawet nazwać. Teoretycznie była to sukienka, ale zapinana na guziki od dekoltu do połowy uda. Wyżej

niż do połowy. Uszyta z cienkiej bawełnianej dzianiny, przylegała do filigranowego ciała jak kostium kąpielowy.

- Jestem gotowa - oświadczyła radośnie. - Czy mamy jakiś plan gry na dzisiejsze popołudnie? Zdecydowałeś, dokąd pojedziemy?

- Myślałem o takim miejscu, w którym twój brat często bywał. Ale najpierw powinienem cię zapytać, czy rozmawiałaś z szeryfem.

- Jasne! Kiedy zaczęłam się martwić o Case'a, zadzwoniłam z Minnesoty do tutejszych szpitali, a potem na policję. Szeryf Simons chyba już rozpoznaje mój głos. Rozmawiałam z nim kilka razy.

- I co?

- I nic. Był bardzo miły i bardzo uprzejmy, ale nie potrafił mi pomóc.

- Kansas wsiadła do samochodu i zapięła pasy. - Zdobył się nawet na wysiłek, żeby pojechać do domu Case'a. Ponieważ jednak nie odkrył żadnych śladów włamania i nic nie wzbudziło jego podejrzeń, powiedział, że niczego więcej nie może dla mnie zrobić. Doszedł do wniosku, że nie ma powodu, by uznać mojego brata za zaginionego. Case ma naturę włóczęgi, to powszechnie znana sprawa. Dopóki sama nie znajdę dowodu na to, że grozi mu niebezpieczeństwo, szeryf nie ma podstaw prawnych do wszczęcia poszukiwań.

- Ja ci powiedziałem to samo.

- Tak, pamiętam. Dlatego właśnie jestem ci wdzięczna za to, że mi uwierzyłeś.

- Nie mam żadnej pewności, że twój brat jest w tarapatach.

- Jest - powiedziała cicho. - Ty też w to wierzysz, przynajmniej w jakimś stopniu, inaczej by cię tu nie było.

Prawda była nieco inna. Pax poprawił wsteczne lusterko i wyjechał tyłem na drogę.

- *Al loco y al aire, darles calle* - mruknął pod nosem.

- Słucham?

- To takie znane hiszpańskie powiedzenie: „Wolna droga dla szaleńców i wiatru”. - Pax wolał darować sobie wyjaśnienie, że mężczyźni używają tego przysłowia w stosunku do upartych kobiet, których nie przekonują nawet najbardziej rozsądne argumenty. Gdyby się nie obawiał, że Kansas zacznie działać na własną rękę i wpadnie w poważne kłopoty, na pewno by go tu nie było.

- Dla szaleńców...?

- Nieważne. To tylko takie powiedzenie, które przyszło mi do głowy.

- Musiał szybko zmienić temat. - Jest pewne miejsce na drugim końcu Sierra Vista. Zwykła księgarnia i przylegający do niej barek. Nic specjalnego, ale spotyka się w nim mnóstwo młodzieży. Wiem, że Case bardzo często tam bywał.

- Świetnie.

Pax nie mógł zaręczyć, że będzie „świetnie”, ani że Kansas dowie się tam czegokolwiek, co naprowadzi ją na ślad brata. Ale jak na początek śledztwa, to miejsce wydawało się względnie bezpieczne. Przypomniał sobie doniczkową hodowlę datury. Ta roślina w domu Case'a bardzo go niepokoiła.

- Opowiedz mi o swoim bracie.

- A co byś chciał wiedzieć?

Przyglądała się domom z cegły z czerwonymi dachami, hiszpańskim napisom na szyldach sklepów, wyblakłym w słońcu kaktusom. Z nosem prawie przylepionym do szyby pomyślała, że bardziej egzotyczny mógł być tylko krajobraz księżycowy.

Pax kochał swoje miasto. W Sierra Vista było spokojnie, cicho, czysto i sennie, nawet w centrum, w najbardziej ruchliwej porze dnia. Raz po raz zerkał na Kansas, zastanawiając się, od czego zacząć rozmowę.

- Myślę, że trzeba być bardzo lojalną siostrą, żeby ni stąd, ni zowąd wybrać się w tak daleką podróż z powodu niejasnego podejrzenia, że brat może mieć kłopoty. Musiałaś zwolnić się z pracy?

- Tak. Pracuję w małej galerii sztuki w Minneapolis, blisko kampusu dla studentów akademii sztuk pięknych. Oprawiam obrazy, przygotowuję ekspozycje, tego typu rzeczy. Ale nikt nie ustala nam zbyt rygorystycznie godzin pracy. Kilka tygodni bezpłatnego urlopu to żaden problem. Mam trochę zaoszczędzonych pieniędzy, poza tym bardzo mało wydaję na życie. Mieszkam na poddaszu pięknej, starej kamienicy i płacę śmiesznie niski czynsz.

- Na poddaszu - powtórzył mimowolnie i westchnął. Jej dziwaczne ciuchy i biżuteria pasowały jak ulał do osoby zajmującej się sztuką. Z łatwością mógł sobie wyobrazić jej „romantyczne” życie na poddaszu, w otoczeniu podobnych jej, zwariowanych przyjaciół, bujających w obłokach artystów i marzycieli.

- Ale nie chodzi o pieniądze. Nawet gdybym nie miała tych oszczędności, i tak bym przyjechała. Case jest moim bratem. W dzieciństwie był dla mnie największym oparciem. To, że jest o dziesięć lat młodszy, nigdy nie miało znaczenia. W swoim czasie życie dało mi nieźle w kość. Case był zawsze przy mnie.

- Przydarzyło ci się coś złego? - Pax czuł, że odpowiedź na to pytanie mogłaby być kluczem do zrozumienia Kansas, a może i jej brata. Ale ona wyraźnie nie miała ochoty rozmawiać o sobie.

- W pierwszej i drugiej klasie szkoły średniej mój brat miał kłopoty z nauką. Psycholodzy nazywają to zaburzeniem koncentracji uwagi. Case był zdolny. Po prostu nie mógł usiedzieć na miejscu, nie potrafił się skupić. Brał lekarstwa, które trochę mu pomagały, ale nauczyciele uznali, że jest niezdolny i koniec. Swoją drogą miał nieco wybujały temperament, robił więc wszystko, żeby na tę opinię zapracować.

- Mam pewne podejrzenie... że to u was rodzinne.

- No jasne - przyznała ze śmiechem, ale po chwili znów spoważniała.

- Tak naprawdę on nigdy nie zrobił nic złego. Żadnych konfliktów z prawem, wandalizmu, narkotyków czy pijaństwa. Zdarzało mu się nie wrócić na czas do domu, pójść na wagary... Nawet nie był patentowanym leniem, po prostu nie miał szczególnych zainteresowań. Ale wyrósł na faceta, który kocha życie. Zawsze pogodny, wszędzie mu dobrze i ma cudowny wpływ na otoczenie...

- Kansas, nie musisz robić mi reklamy. Wierzę ci. I trochę go poznałem. Chyba nie ma w tym mieście człowieka, którego twój brat by nie oczarował.

- Chciałam tylko, żebyś wiedział, że Case ma złote serce i naprawdę nie mógł zrobić niczego złego.

Pax miał takie samo zdanie na temat Case'a, ale nawet gdyby było inaczej, nie śmiałyby protestować. Kansas przypominała lwicę broniącą swojego potomstwa. On nigdy nie miał takiego adwokata, ani w rodzinie, ani poza nią. Nie pamiętał nawet czasów, kiedy mógł liczyć na kogośkolwiek poza samym sobą.

- O Boże - powiedziała nagle.

- Co takiego? - Skręcił na parking i zahamował z piskiem opon.

- Powiedziałaś, że to księgarnia. Myślałam, że chodzi o zwykłą księgarnię...

- Niezupełnie.

Przed wejściem stały zaparkowane dwa harleye i kilka innych czarnych motocykli. „Strawa dla ducha” - głosił napis na szyldzie. W witrynie okiennej wisiały kryształowe kule, jakieś amulety, a na okładkach wystawionych książek roiło się od duchów, zjaw i innych mieszkańców zaświatów.

Pax schował do kieszeni kluczyki, wyskoczył z samochodu i dogonił Kansas.

- Nie mam pojęcia, czy uda ci się czegoś dowiedzieć o bracie. Nie jestem nawet pewien, czy znajdziesz tu kogoś, kto zechce z tobą pogadać. Ci ludzie niechętnie wdają się w rozmowy z obcymi. Wiem tylko, że Case spędzał tu mnóstwo czasu.

- Nie martw się. Pociągnę ich za język. Spokojna głowa - odpowiedziała z uśmiechem.

A w nim zamarło serce. Nie próbował się nawet domyślać, dlaczego Kansas odpięła kolejny guzik przy sukience. Biorąc nawet poprawkę na jej nieobliczalny charakter i panujący upał, nie mogła wybrać gorszej pory na obnażanie swoich wdzięków.

Wzburzyła ręką włosy, a potem bezbronnym gestem skrzyżowała ręce pod biustem i... nie do wiary, wypięła dumnie tę swoją dziewczęcą, płaską klatkę piersiową.

Pax osłupiał z wrażenia. To było jak przemiana doktora Hyde'a w pana Jekylla. Zaledwie minutę wcześniej prowadzili poważną rozmowę. Kansas była błyskotliwa, rozsądna i wrażliwa. Nie mógł pojąć jakim

cudem, i to w ciągu kilku sekund, przeobraziła się z powrotem w głupiutkie dziewczątko.

- Wchodzimy? - Nie czekając na odpowiedź, Kansas ruszyła do wejścia.

- Do ataku - powiedział i z uczuciem paraliżującego niepokoju otworzył przed nią drzwi.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Tak się cieszę, że zgodziłeś się ze mną pogadać. Czułam się taka... samotna. Nie miałam się do kogo zwrócić.

Pax uderzał dłonią w brodę. Kawa stygła w filiżance, ale on nie chciał uronić ani sekundy tego spektaklu. Nigdy dotąd nie widział mistrzyni blagierstwa w akcji.

Jej ofiarą padł młody, wytatuowany mężczyzna o posturze zapaśnika wagi ciężkiej, z bezładną szopą włosów na głowie i złotym kółkiem w łuku brwiowym. Na sam widok takiego typu normalna kobieta przechodzi na drugą stronę ulicy albo ucieka gdzie pieprz rośnie. Kansas szczebiotała do niego jak do ukochanego szczeniaka, a obiekt jej czułości zdawał się cierpieć na chroniczny ślinotok.

- Jak tylko mi nadałaś, że jesteś siostrą Case'a, od razu skumałem, że musisz być w porządku. I wiesz co, kurde, nie musisz mi mówić, jak to jest być samotnym. Przerabiałem to.

- Och, George, wiedziałam, że mnie zrozumiesz. Tak się martwię o mojego brata. Wyobrażasz sobie, przyjeżdżam tutaj, a jego nigdzie nie ma... O rany, po prostu nie wiedziałam, co robić. Case i ja... prawda jest

taka, że oboje jesteśmy trochę pokręcani. Zawsze nadawaliśmy na innych falach.

- Komu ty to mówisz? Robisz coś trochę inaczej niż reszta, wierzysz w coś innego i cały świat robi z tego aferę. Próbują cię dopaść, jakbyś popełnił jakąś zbrodnię.

- No właśnie. - Uśmiechnęła się czarująco do rozanielonego osiłka i położyła dłoń na jego grubym nadgarstku. - Ty chyba bardzo dobrze znasz mojego brata. I za nic nie naraziłabym cię na kłopoty. Case też ma swoje sprawy. Z nikim nie chciał rozmawiać o...

Wahała się przez moment. Pax nigdy nie widział, żeby ktoś polował na rekina bez solidnej przynęty, licząc wyłącznie na własną intuicję. Młody człowiek rozejrzał się bacznie po sali i nagle znieruchomiał.

- Pax jest przyjacielem - zareagowała szybko Kansas. - Możesz mu ufać.

- Tak? - George nie wyglądał na przekonanego, ale Kansas uściskiem swojej drobnej dłoni zdołała go uspokoić. - Dużo ludzi wkurza się na grupę. Nie można o tym z nikim gadać. Oni nie rozumieją.

- Ale ja rozumiem, George... chociaż nie wiem, czy byłeś w grupie razem z Case'em... - Kansas znów się zawahała. Jeszcze jeden rzucony umiejętnie haczyk, a przecież Pax doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że dziewczyna wciąż porusza się po omacku.

- Właściwie nie byłem z nimi zżyty. Nie wciągnąłem się tak ostro jak twój brat. Cholera, te religijne sprawy są strasznie skomplikowane. Ale pasuje mi to, co robią. Są w porządku.

Pax wyęczał słuch. Nie był pewien, w co dokładnie wplątał się Case, ale miał pewne podejrzenia. Każda informacja, każdy najdrobniejszy

szczegół wyciągnięty od tego człowieka mogły być tropem prowadzącym do tajemniczej grupy.

Rozejrzył się dookoła. Zasłona z koralików oddzielała barek od księgami. Całe pomieszczenie było przesiąknięte duszącą wonią kadzidła, z którego kopciło się niemiłosiernie. Brodaty chłopak mamrotał w kącie jakieś wiersze czy mantry. Za kontuarem wystawione były na sprzedaż talizmany miłosne, kasety z chorałami gregoriańskimi i kryształowe kule, jakoby ułatwiające kontakt z najgłębszymi pokładami naszej jaźni. Nikt z tu obecnych nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. Pax nie wątpił w swoją dojrzałość, ale gdy zastanawiał się nad tym teraz, do głowy cisnęły mu się same pytania.

Kansas, wpatrzona w George'a Tygrysa, wciąż trzepotała rzęsami. Gdyby się dokładniej przyjrzeć rudej, delikatnej i mało wyrazistej oprawie jej oczu, to okazałoby się, że właściwie nie miała czym trzepotać. Pochylała się do przodu w tej swojej prowokacyjnej, opiętej na piersiach sukience, chociaż i w te uroki natura nie wyposażyła tej dziewczyny zbyt obficie. Szepczący głos i bezradne spojrzenie wydawały się tanim zagranem, którego nie kupiliby w najędźniejszym cyrku. A George był podniecony jak jeleń na rykowisku.

Najgorsze, cholera, że on też. Wypił łyk cappuccino, mając nadzieję, że dzięki temu zacznie trzeźwiej myśleć. Wciąż nie potrafił rozgryźć tej kobiety. Robiła, co mogła, żeby zdobyć informacje od obcego człowieka, który na początku nie chciał z nią nawet rozmawiać. To Pax potrafił zrozumieć. Mniejsza o to, że chętnie zapiąłby na ostatni guzik jej cholerną sukienkę i okrył dekolt dużym, grubym szalikiem. Nie to go martwiło, że wykorzystywała swoje seksowne chude ciało jako przynętę dla informatora. W każdym razie nie tak bardzo.

To ona go martwiła.

Każdemu zdarza się znaleźć w trudnej sytuacji, gdy trzeba się uporać z problemami, których nie sposób było przewidzieć. Ale kiedy człowiek jest w niekorzystnym położeniu, powinien podnieść głowę i wyprostować plecy. Pax nauczył się sztuki przetrwania, kiedy był żółtodziobem. Pierwsza zasada: okaż siłę. Odkrywając przed obcym swoje słabe punkty, dajesz mu broń, którą może cię zranić.

Kansas nie tylko nie ukrywała swoich słabych stron, ale afiszowała się nimi. Opowiadać jakiemuś przerośniętemu durniowi, że jest bezradna i samotna... Niech to szlag. Pax o mało nie dostał apopleksji, a przecież z natury był spokojny i opanowany. Czuł, że będą mieli dużo szczęścia, jeżeli uciekną z tego miejsca, zanim George zacznie dobierać się do Kansas. Ten bezmózgi osiłek gorzko tego pożałuje, ale gdyby Kansas przyjechała tu sama? Gdyby nie mogła liczyć na pomoc Paxa? Czy naprawdę była na tyle głupia, żeby wikłać się w tego rodzaju kłopoty?

- George - powiedziała trochę później - jesteś kochanym chłopcem.

Pax podejrzewał, że nikt dotąd nie nazwał George'a kochanym chłopcem, nawet jego własna matka. Krzepki młodzieniec zarumienił się jak panienka, potem odprowadził ich do drzwi z miną zbłąkanego szczeniaka, który prosi, żeby zabrać go do domu.

Jednak kiedy obaj mężczyźni stanęli obok siebie, na moment coś ciężkiego zawisło w powietrzu. George wyglądał jak góra mięśni, Pax miał swoje sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i dużo siły, którą zawdzięczał codziennej fizycznej pracy. Ale George był chłopcem, a Pax mężczyzną. Wystarczyła im krótka wymiana spojrzeń. George został w środku.

Kiedy wyszli na zewnątrz, od zachodu wiał upalny, pustynny wiatr. Tumany piasku unosiły się w powietrzu, zamazując barwy i kontury ludzkich sylwetek. Kansas podbiegła do dżipa, osłaniając się rękami jak przed napastnikiem, i wskoczyła do środka.

- Jak można oddychać w takim kurzu? - mruknęła pod nosem, zapinając nerwowo pas bezpieczeństwa. - O, Boże, Pax... - westchnęła po chwili. - Nie masz pojęcia, jak on mnie przeraził. Tu działa jakaś sekta religijna, prawda? To miał na myśli George, mówiąc o „grupie”? Nigdy w życiu nie przyszłoby mi do głowy, że mój brat może się wplątać w coś takiego.

- Nie wiesz jeszcze na pewno, czy się wplątał. - Pax przekreślił klucz w stacyjce, ale nie spuszczał oczu z twarzy Kansas. Nie do wiary, znów była sobą. Mówiła normalnym głosem, nie robiła infantylnych min. Dotknął jej nastroszonych włosów... i zalała go fala nagłego pożądania.

Pamiętał, co stało się zeszłej nocy, kiedy uległ pokusie. Skierował wzrok na drogę.

- Nie, nie mam takiej pewności - przyznała - ale wydaje mi się to coraz bardziej prawdopodobne. Te wszystkie książki religijne. Dziwne obrazy, symbole kultu. I ludzie w tym barze. Przecież to jeszcze dzieci! Niech to wszyscy diabli! Naiwne dzieci.

- George nie jest dzieckiem.

- Nie obchodzi mnie, czy ma kilkanaście lat, czy dwadzieścia. Jest jak dziecko. Nie zna życia, nie ma żadnego doświadczenia.

- Kansas... - spróbował mówić najspokojniejszym tonem, na jaki mógł się zdobyć. - On jest wystarczająco dorosły, żeby w głowie mieć tylko seks. Niepotrzebna mu do tego wiedza o życiu. I jest tak duży, że nie miałabyś żadnych szans, gdyby się do ciebie zaczął dobierać.

- O czym ty mówisz? George musiał chyba zauważyć, że jestem od niego przynajmniej o pięć lat starsza.

Pax tylko westchnął ciężko.

- Tak czy inaczej, George nie ma z tym nic wspólnego. Wspomniał kilka razy o jakiejś grupie, ale sam do niej nie należy. Wiesz, co to za ludzie? Jaką wyznają religię?

- Słyszałem pogłoski o sekcje, ale to tylko plotki. - Nikt nie wie niczego pewnego. Wszystkie małolaty szukają dla siebie jakiegoś miejsca w życiu. Towarzystwo, które zaczęło okupować księgarnię, na początku niczym się nie wyróżniało. Zwyczajne nastolatki, na ogół z dobrych domów, z wyglądu niczym nie przypominali George'a. Pewnie jak większość ludzi w ich wieku, szukali sensu życia, jakiegoś celu. Mieli fioła na punkcie ekologii, zdrowej żywności, powrotu do natury.

- To coś dla Case'a...

Pax skinął głową, ale wciąż ostrożnie dobierał słowa.

- Uważam za całkiem naturalne, że młodzież myśląca w ten sposób zaczyna się zwracać ku wierzeniom Indian. Amerykańscy tubylcy mieli o wiele przyjaźniejszy i mądrzejszy stosunek do otaczającej nas przyrody niż biali.

- Ale...?

- Pewne elementy starych religii, takie jak mistycyzm, praktyki szamańskie czy eksperymenty ze środkami halucynogennymi, mogą wydawać się bardzo romantyczne, szczególnie jeśli wyrywa się je z szerszego kontekstu i przedstawia w sposób uproszczony. I tu zaczynają się kłopoty, które wynikają z ich błędnej interpretacji. Bardzo łatwo jest zapędzić się w ślepią uliczkę, tracąc z oczu główny kierunek idei, od której...

- Do czego zmierzasz? Co ty chcesz mi powiedzieć?

- Nic ponad to, że Case był związany z tymi ludźmi. To jedyny fakt, który mogę potwierdzić.

- Fakty! - burknęła lekceważąco, jak gdyby logika była tu najmniej przydatna. - Poradzę sobie. Spokojna głowa! Znajdę brata i dowiem się całej prawdy, choćbym miała stanąć na głowie.

- Kansas... Nie waż się działać na własną rękę.

- Słucham?

- Nie wściekaj się... Chciałem ci tylko powiedzieć, że jeśli zdecydujesz się szukać Case'a, pomogę ci. Znam tutejszych ludzi, a także takie miejsca, do których sama dotarłabyś może za sto lat.

- Prawdopodobnie - zgodziła się potulnie. - Dzięki, Pax. Kamień spadł mi z serca. Od początku czułam, że mogę na ciebie liczyć.

Kiedy dojechali na miejsce, Pax wysiadł pierwszy, obszedł samochód i otworzył drzwi. Kansas uśmiechnęła się pod nosem. Właściwie nigdy nie żałowała, że rycerskość wyszła z mody, bo wszyscy znani jej mężczyźni o zapędach opiekuńczych nigdy nie byli prawdziwie troskliwi. Raczej zaborczy. Może nie dostrzegali różnicy między jednym a drugim, ale Kansas powoli dochodziła do wniosku, że Pax dobrze rozumiał, w czym rzecz. Silni powinni ochraniać słabszych. Dla niego to była raczej sprawa honoru i zasad, którymi kierował się w życiu, a nie manifestacja samczych ambicji. A w gruncie rzeczy ten mężczyzna po prostu nie był w stanie odmówić przejęcia na siebie odpowiedzialności za bliźniego, który potrzebował pomocy.

Dreńczyła ją ciekawość, czy Pax ma kogoś, na kogo sam może liczyć. Czy kiedykolwiek miał. Wtedy, gdy potrzebował pomocy.

Zatrzymali się przed drzwiami i Kansas zajęła się poszukiwaniem kluczy w przepastnej czeluści swojej torby. Znalazłszy je wreszcie pośród pięćdziesięciu innych absolutnie niezbędnych przedmiotów, dostrzegła uśmiech Paxa - cierpliwy, wyrozumiały męski uśmieszek - który powinien ją zdenerwować, a przejął błogim dreszczem. W chwili kiedy ich oczy się spotkały, wiedziała, że nie zapomniał, czym skończył się poprzedni wieczór.

Ani ona. Mimo że starała się o to usilnie.

- Chciałabym ci w jakiś sposób podziękować za dzisiejszą pomoc i... pomyślałam o kolacji. Udało mi się rano wyskoczyć na zakupy, więc mogę coś szybko przygotować... jeśli masz dość odwagi...

Pax zaśmiał się, ale pokręcił głową, zanim skończyła zdanie.

- Nie, dzięki za zaproszenie, ale nie mogę z niego skorzystać.

- A niech to! - odparła bez zająknięcia. - Powinna była domyślić się, że... pewnie masz przyjaciółkę. Strasznie mi głupio, że zabrałam ci tyle wolnego czasu...

- Nie jestem w tej chwili z nikim związany. Po prostu mam jeszcze sporo roboty.

- To może pogadamy innym razem. Miałam nadzieję, że podpowiesz mi, co mam dalej robić. Case wspominał mi w listach o dziewczynie, która ma na imię Serena. Gdyby udało mi się ustalić, jakie ona nosi nazwisko i znaleźć ją...

- Spróbuję to zrobić. Zadzwoń do ciebie, jak tylko się czegoś dowiem.

- Zgoda. A ja zaraz zacznę grzebać w książkach i różnych papierach Case'a. Muszę zrozumieć... O rany! - Kansas zrobiła ledwie krok w stronę drzwi, kiedy w cieniu werandy zobaczyła jakieś małe zwierzę.

W sytuacji zagrożenia reagowała niezwykle szybko. Odwróciła się i gubiąc po drodze jeden sandał, pognąła do samochodu Paxa. Otworzyła drzwi od strony pasażera i wskoczyła do środka.

- Możesz mi wytłumaczyć...

- Przykro mi - mruknęła i wzruszyła ramionami - ale ja stąd nie wychodzę. Mam tego dosyć. Wszędzie spotykam jakieś ohydne robale albo gady. Nie mogę nawet patrzeć na to paskudztwo.

Pax odwrócił głowę i dopiero teraz zauważył na progu werandy niewielkie zwierzę o barwnej, opalizującej skórze.

- Kansas, to jest jaszczurka. Zwykły gekon, niejadowity, zupełnie niegroźny. Jada tylko owady, w tym również całe mnóstwo uprzykrzonych insektów, za co powinnaś być mu wdzięczna. To nasz przyjaciel i sprzymierzeniec.

- Pax, posłuchaj uważnie! Nie podejść do tego czegoś za żadne skarby świata. I na pewno nie zostaniemy przyjaciółmi. Ani teraz, ani za pięćdziesiąt lat. Nigdy!

- Daj spokój! Wcale się tak bardzo nie boisz. Nie jesteś nawet w połowie tak strachliwa, na jaką...

- Właśnie że jestem! Jestem okropnym cykorem, supertchórzem, życiową fajtlapą. Mówiłam ci.... Błagam, zrób z tym coś albo dostanę zawału!

- Nie będzie tak źle - powiedział oschle. Wszedł na werandę, pochylił się i delikatnie, czubkiem buta, odsunął jaszczurkę. Gekon nie wyglądał na zbyt przestraszonego, ociągał się przez chwilę, w końcu jednak zniknął w krzakach. - Proszę bardzo, możesz bezpiecznie wyjść! - zawołał Pax lekko ironicznym tonem.

- A jeśli on wróci?

- Kansas, wylaż z tego samochodu i przestań się zgrywać. Widziałem wczoraj, co zrobiłaś z tarantulą.

- O mało przez nią nie umarłam.

- Jasne, byłem tego świadkiem.

Wyglądało na to, że nie ma wyjścia. Wpatrywała się długo w krzaki, w końcu otworzyła drzwi i wyszła z samochodu.

- Ostrzegam cię, że jeśli ten potwór wejdzie z powrotem na werandę, zacznę się drzeć wniebogłosey.

- Namawiałbym cię raczej do tego, żebyś mu się z bliska spokojnie przyjrzała. Jeżeli masz zamiar włóczyć się po tych okolicach, powinnaś umieć odróżniać zwierzęta jadowite od tych, które nie robią ludziom żadnej krzywdy.

- Przyjrzeć mu się z bliska? Musiałbyś wezwać na pomoc oddział komandosów, żeby mnie do tego zmusić. Nic mnie nie obchodzi, które z tych gadów są jadowite, a na widok każdego z nich będę zwiewać gdzie pieprz rośnie. - Kansas podeszła do Paxa i spojrzała mu w oczy. - Przyznaję, że jestem pod wrażeniem. Świetnie sobie radzisz z tchórzliwymi kobietami.

- Nie jesteś tchórzliwa.

Jasne, że nie, pomyślała, ale jak on to poznał? Większość mężczyzn miała własne kryteria odwagi. A ona nigdy nie stawiała sobie za punkt honoru, by zwalczyć odrazę do pajaków, gadów i mnóstwa innych pełzających stworzeń. Zarówno na widok węża, jak i zwykłego karalucha dostawała drgawek. No i co z tego? Nikomu niczego nie musiała udowadniać, a rzeczy najtrudniejsze, z którymi musiała radzić sobie w życiu - ból, cierpienie, samotność - nie miały żadnego związku z jej stosunkiem do jaszczurek.

Czyżby Pax to zrozumiał? Zareagował na jej histeryczny wybuch lodowatym spokojem. Wyrazem twarzy, który nie zdradzał żadnych uczuć. Ani śladu drwiny, rozbawienia czy zdenerwowania. Oparł ręce na biodrach i czekał cierpliwie, aż Kansas otworzy drzwi i wejdzie do środka.

- Na pewno nie dasz się namówić na kolację? - Włożyła klucz do zamka i odwróciła się.

- Na pewno.

- Więc jeszcze raz ci dziękuję.

- Nie ma za co.

- Owszem, jest za co - odparła stanowczo. - Poświęcasz mi swój czas, chociaż wcale nie musisz tego robić. Bardzo martwię się o Case'a, ale to w końcu mój brat, a ty nie masz wobec niego żadnych zobowiązań.

- Daj spokój, nic mnie to nie kosztuje. Jeśli tylko będę miał kilka wolnych godzin, bardzo chętnie ci pomogę, ale nie róbmy z tego wielkiej sprawy.

Tu cię mam! pomyślała. W jego obojętnych dotąd oczach pojawił się błysk niepokoju. Kansas odniosła dziwne wrażenie, że Pax wolałby przełknąć cyjanek, niż przyjąć następne „dziękuję”. Kłopoty były jego chlebem powszednim, ale wyrazy uznania lub wdzięczności kompletnie zbijały go z tropu.

To odkrycie obudziło w niej nagłe pragnienie. W kowbojskich butach Pax był tak wysoki, że musiała wspiąć się na palce... żeby chwycić go za szyję i przyciągnąć do siebie

jego głowę. Sama nie wiedziała, do czego zmierza... dopóki nie dotknęła wargami jego ust. To była ledwie obietnica pocałunku, przelotne muśnięcie, ale Kansas nie odsunęła się i wciąż czuła na twarzy jego oddech. Widziała, jaki jest spięty i zmieszany.

Musi być rozsądna! Powinna odwrócić się na pięcie i zostawić go samego.

A jednak spróbowała jeszcze raz. Stała w tym upalnym słońcu, jej wargi były miękkie i rozgrzane jak płatki róży. Chciała tylko ofiarować Paxowi odrobinę tego ciepła. Pragnęła, żeby nie obawiał się tej odrobiny uznania i przekonał się, że to nic strasznego.

Pax objął ją mocno w talii. Pomyślała, że chce ją odepchnąć, ale on zwolnił uścisk i otuliwszy całą ramionami, zaczął namiętnie całować.

Czuła zar przenikający ją do szpiku kości. Bezwiednie przylgnęła do Paxa, nie próbując się bronić. Był bardzo samotny; domyśliła się tego już wcześniej. Samotny z wyboru. Kiedyś i ona tego doświadczyła. Była zbyt dumna, żeby korzystać z czyjejkolwiek pomocy, nawet nie dopuszczała do siebie myśli, że mogłaby kogoś potrzebować. Była wtedy inwalidką i minęły długie miesiące, zanim zrozumiała, że żyjąc w ten sposób, zamyka się przed ludźmi i nie pozwala im się do siebie zbliżyć. Ani niczego sobie ofiarować.

Ludzie mają prawo kochać innych. A potrzeba dawania jest sposobem wyrażania uczuć.

To przejaw wielkiego egoizmu pozbawiać innych tej przyjemności.

I przejaw ogromnej samotności.

Ten sam rodzaj samotności wyczuwała w Paksie. Jego pocałunki były nieporadne i gwałtowne, jego dłonie błędziły po jej plecach z bezładną zapalczywością. Pax nie był inwalidą, tak jak kiedyś ona. Ale zdawał się nie rozumieć, że przyznanie się do własnych potrzeb nie musi być objawem słabości. Wyrażanie pragnień jest zwyczajnym ludzkim odruchem.

I może dlatego otworzyła się na ten pocałunek i natychmiast chciała ofiarować mu więcej, bo przyjął to tak cudownie. Tak gwałtownie i prawdziwie. Poruszając coś gwałtownego i prawdziwego w niej samej. Przejmującą tęsknotę. Pragnienie tak silne i niepohamowane, że straciła poczucie rzeczywistości. Nie rozumiała, co się z nią dzieje. Dlaczego nie przydarzyło jej się to z nikim innym? Czemu właśnie z nim?

Chwyił dłońmi jej pośladki i z bolesnym jękiem przycisnął je do swoich bioder. Miała wrażenie, że traci grunt pod nogami. Pora ochłonać, pomyślała w chwilowym przeblysku świadomości, ale jakoś nie wykrzesła w sobie chęci na zimny prysznic. Z westchnieniem rozkoszy przywitała nową falę podniecenia... i rękę Paxa, która wśliznęła się między ich przytulone do siebie ciała, zatrzymała na jej brzuchu i powędrowała wyżej. Kansas wstrzymała oddech. Jej serce dudniło jak oszalałe, nabrzmiące boleśnie piersi czekały na uwolnienie z jarzma. Na szczęście biustonosz miał zapięcie z przodu. Kciuk Paxa zbliżał się do celu milimetr po milimetrze. Wiedziała, że już nic ich w tym szaleństwie nie powstrzyma.

- Do diabła, Kansas... - Odepchnął ją od siebie i chwycił za ramiona.

- Myślałem, że strasznie boisz się jaszczurek.

- Hm...

- Więc gdzie, do cholery, podział się ten strach? - Hipnotyzował ją mrocznym, ołowianym wzrokiem. - Nie spojrzałaś nawet w dół. Wiesz, że ten mały gekon mógłby teraz siedzieć na twojej stopie. I co, nie jesteś już przerażona?

- Hm.

Nie jest źle, pomyślała, przynajmniej Pax tym razem nie zawraca sobie głowy przeprosinami. Gdyby była z natury niepoprawną optymistką, uznałaby to za dobry znak.

- Przestań mówić „hm”. I nie patrz na mnie w ten sposób. Ja ciebie po prostu nie rozumiem. Nie boisz się rzeczy, których powinnaś się lękać. Za to wrzeszczysz na widok głupiej jaszczurki. Do diabła, Kansas, musisz wiedzieć, co jest naprawdę niebezpieczne.

- Uważasz, że powinnam bać się ciebie?

- Uważam, że nie powinnaś prowokować czegoś, czego byś potem żałowała.

- Dobrze - mruknęła. - Od tej chwili nie będę prowokowała niczego, czego mogłabym żałować.

- Kansas, ja mówię poważnie - ostrzegł ją, marszcząc surowo brwi

- Ja też.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kansas wybiegła z domu, gdy dżip Paxa wjeżdżał na podjazd.

- Znalazłeś Serenę? Przyjaciółkę mojego brata?

- Nie spotkałem się z nią. Dowiedziałem się tylko, że ma na nazwisko Madieros i pracuje w Tombstone. Jakieś dwadzieścia minut jazdy stąd.

- Tombstone? Naprawdę pojedziemy do Tombstone? Do tego skansenu?

- Tak, mówię o tym turystycznym paskudztwie - odpowiedział Pax z niesmakiem. - Nie wiem, czy będziesz miała szansę porozmawiać z tą dziewczyną. Jeśli pracuje, może być zbyt zajęta, ale mam teraz kilka wolnych godzin, więc jeżeli chcesz ją przynajmniej zobaczyć...

- Pewnie, że chcę. - Kiedy zapinała pasy, czuła na sobie jego wzrok, prześlizgujący się po jej gołych nogach, króciutkich białych szortach i bawełnianej bluzce. Wyglądał na zaskoczonego, nie powiedział jednak ani słowa. Uruchomił silnik i wyjechał na drogę.

Jeżeli zdziwiło go, że ubrała się tak zwyczajnie... tym lepiej dla niej. Nie musiała dalej udawać bezradnej miastowej nieudacznicy, zgrywać się na kogoś, kim nie była, bo Pax zgodził się już jej pomóc. Koniec z maskaradą!

Przeraził ją poprzedniego wieczoru. Przeraził ją tak bardzo, że od bladego świtu, niczym pokutująca dusza, snuła się po całym domu, nie mogąc zasnąć, nie mogąc nawet przyłożyć głowy do poduszki.

Wciąż miała przed oczami tamtą scenę. Pax z udreńczonym spojrzeniem, ostrzegający ją przed popełnieniem nierozważnego czynu.

Całą noc wyobrażała sobie, że się kochają. Przypominała sobie, jak fatalnie kończyły się jej związki z nadopiekuńczymi mężczyznami. Pax również był opiekuńczy. Wiedziała, że choćby z tego względu nie powinna się w nim zakochać.

Czuła jednak, że odwoływanie się do zdrowego rozsądku niewiele jej pomoże. Za późno! Choć zdawało się to szaleństwem, po raz pierwszy w życiu miała wrażenie, że znalazła mężczyznę, który potrzebuje jej bardziej niż ona jego. Jaka szkoda, że nie dał jej szansy. Zamknął przed nią drzwi, zanim zdążyła z nim o tym porozmawiać.

Trudno, tak widocznie miało być. Przeczuwała, jak wiele mógłby dla niej znaczyć. Była równocześnie pewna, że związek z Paksem nie należałby do najłatwiejszych. Ryzyko wydawało się ogromne. Poza tym Bóg świadkiem, że miała na głowie inne poważne problemy.

- Pax... Zajrzałam do kilku z tych książek, które czytał Case. Jedna jest o Aztekach i ich religii. Otóż Aztekowie używali podobno do celów rytualnych dwóch środków halucynogennych - datury i kaktusa peyote. Datura. Czy nie tak nazwałeś tę dziwną roślinę, którą hodował Case?

- To nie jest jej potoczna nazwa, ale tak, wyglądała mi właśnie na to.

- Pamiętam, jaki miałeś wyraz twarzy, kiedy ją zobaczyłeś. Myślisz, że mój brat używał tego jako narkotyku?

- Nigdy tego nie powiedziałem.

- W każdym razie to nieprawda. Case'a nigdy nie ciągnęło ani do alkoholu, ani do narkotyków. Nigdy! Robił głupie rzeczy, ale trzymał się z daleka od ćpunów. Nienawidził ich. Mówił, że wystarczy mu samo życie, żeby być na haju.

- Ludzie się zmieniają - powiedział cicho Pax. - Kiedy go ostatnio widziałas?

- Nieważne. On się nie zmienił. Nie w tym sensie. Znam go. Może hodował tę roślinę z jakiegoś innego powodu. Może nie wiedział, co to jest.

- Może.

- Nie patrz na mnie w ten sposób. Nie jestem naiwna, jeśli to miałeś na końcu języka.

- Tak jest, proszę pani.

- I nie mów do mnie „proszę pani”.

- Czy przypadkiem nie jesteś dzisiaj trochę nie w sosie?

Cóż za łagodne określenie. Po nie przespanej nocy zawsze była zła jak osa, a teraz jeszcze zamartwiała się o Case'a.

- Znalazłam też książkę o wierzeniach Indian. Najważniejszy był kult ziemi i zjawisk przyrodniczych. Szacunek dla zwierząt i natury. Wszystko to bardzo piękne, żadnych szokujących rzeczy, poza...

- Poza?

- Poza tym, że ważną rolę w ich życiu duchowym odgrywały medytacje i wprowadzanie się w stan transu celem wywołania wizji. Ja akurat wierzę - mówiła szybko, wyraźnie akcentując słowa - w paranormalne zjawiska psychiczne. To oczywiste, że pewni ludzie widzą rzeczy dla innych niedostrzegalne, mają zdolności telepatyczne i tak dalej. Wiem, że jest mnóstwo oszustów, fałszywych uzdrowicieli, naciągaczy, ale to nie zmienia faktu, że niektórzy przychodzą na świat z niezwykłym darem...

- Kansas?

- Słucham?

- Mam dziwne przeczucie, iż spodziewasz się po mnie, że zaatakuję twojego brata. Kotku, gdybym chciał nadstawić karku, wpadłbym do

jakiegoś zakazanego baru o drugiej nad ranem. Nie mam instynktu samobójczego. Używam zdrobnienia imienia Paxton, bo jestem zwolennikiem pokoju.

- Czy... dajesz mi taktownie do zrozumienia, że próbuję za wszelką cenę bronić swojego brata?

- Myślę, że w jego obronie zmierzyłabyś się nawet z lwem. Tylko że ja nie jestem drapieżnikiem. A co do niezwykłych zjawisk psychicznych, nie będę się z tobą sprzeczać.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Nie powiem, żeby mnie te sprawy szczególnie pasjonowały, ale wiem, że wśród wielu plemion indiańskich wywoływanie wizji za pomocą postów i medytacji było powszechną praktyką. W ten sposób ludzie szukali sensu istnienia i duchowej łączności ze światem przodków. Myślę, że mieli rację. Jedynie otwierając umysł na wszystko, co nas otacza, można zrozumieć samego siebie. Jesteśmy częścią tej ziemi, częścią planety, i nikomu nie zaszkodziłoby pomedytować o tym, jakie jest nasze miejsce we wszechświecie.

- Rozmawiałeś o tym z moim bratem, prawda?

- Nieraz ze sobą gawędziliśmy. Zauważyłem, że fascynują go tego rodzaju poglądy i nie widziałem w tym nic złego. Myślę, że każdy ma jakieś wewnętrzne przekonania, ale sądzę też, że to bardzo osobista sprawa. Ja nie grzebię nikomu w duszy.

- Pax, do cholery, o czym ty mówisz? Czego ty mi nie chcesz powiedzieć?

Tylko na sekundę odwrócił do niej głowę.

- Myślę, że młodzi ludzie są bardzo czuli na punkcie osobistych przekonań, tego, w co wierzą. Oni dopiero kształtują swój stosunek do

życia, buntują się przeciwko różnym nonsensom, szukając własnej drogi. Ale w złych rękach nawet najniewinniejsza idea może być opacznie zinterpretowana.

- Klituś-bajduś! Czy przestaniesz w końcu owijać prawdę w bawełnę? Powiedz mi otwarcie, w co, twoim zdaniem, wpakował się mój brat. Nie chodzi chyba o jakąś sektę, w której pierze się dzieciakom mózgi...

- Spokojnie! Mówiłem ci, że niczego nie jestem pewien. Nie słyszałem o żadnym przywódcy czy jakiejś zamkniętej, tajemniczej sekcji. Wiem tylko, że grupa młodych ludzi zaczęła wyprawiać się w góry na wspólne medytacje, że wymyślili sobie jakąś własną religię i bardzo poważnie to traktowali. Na początku nikt o tym specjalnie nie mówił, potem zaczęły się plotki o czarownicach i „rytuałach oczyszczenia”. Wiadomo, że niektórzy z nich się z tego wycofali. Ale fakt, że twój brat czytał książki o starych wierzeniach Indian, nie jest żadnym dowodem na to, że należy do sekty. Kansas... rozchmurz się, jesteśmy na miejscu.

Pax musiał znaleźć miejsce do zaparkowania w jakiejś bocznej uliczce. W zatłoczonym Tombstone turyści okupowali zarówno chodniki, jak i ulice. Gdyby nie ten różnokolorowy tłum, miasteczko wyglądałoby chyba identycznie jak sto lat temu.

Kowboje w kapeluszach i zakurzonych butach, z sześćo-strzałowymi rewolwerami u boku, niektórzy w skórzanych ochraniaczach na spodnie, przechadzali się jak na planie filmowym klasycznego westernu. Część kobiet miała na sobie proste perkalowe suknie sięgające kostek, inne, w kolorowych falbaniastych spódnicach, przyciągały uwagę ostrym makijażem i głęboko wyciętymi dekoltami. Z domu opatrzonego szyldem „Teatr Złota Klatka” dochodziły dźwięki szarpiącej nerwy

muzyki. Przeczną dalej grupa rozbawionych mężczyzn wysypała się z saloonu „Kryształowy Pałac”.

To było cudowne. Fascynujące, jak temu miastu udało się zachować dawny koloryt... Ale Kansas czuła się zdezorientowana i rozbita. Nie mogła przestać myśleć o bracie.

Medytacje. Kult czarownic. Jakieś zielsko do wywoływania wizji. Owszem, miała przeczucie, że Case znalazł się w niebezpieczeństwie, ale wyobrażała sobie, że złamał nogę, zgubił się gdzieś, miał wypadek... W najczarniejszych myślach nie dopuszczała możliwości, że jej beztroski braciszek mógłby zarazić się takim szaleństwem.

Zdała sobie nagle sprawę, że Pax wysiadł z samochodu i stoi obok, cierpliwie przytrzymując otwarte drzwi.

- Muszę go znaleźć - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - Jeżeli wpakował się w jakieś bagno, muszę go z tego wyciągnąć.

- Nie ma sensu szukać kłopotów. Na razie niczego nie jesteś pewna. Ani ja.

- Nie szkodzi. Ja po prostu muszę coś zrobić! Teraz!

- Właśnie coś robimy. Idziemy obejrzeć dziewczynę, z którą przyjaźnił się Case.

Serena.... Kiedy Kansas przypominała sobie o niej, wyskoczyła z samochodu jak z katapulty.

Gdyby Pax miał wybór, nie wspomniałby Kansas o czarownicach ani o sekcje. Nie dlatego, że chciał przed nią coś ukryć. Miała prawo wiedzieć, co dzieje się z jej bratem. Ale dopóki nie ustalą pewnych faktów, nie widział powodu, żeby ją dręczyć niejasnymi i być może bezpodstawnymi podejrzeniami.

Niestety, wszelkie poszlaki wydawały się je potwierdzać. Na próżno próbował uspokajać Kansas, hamować jej gwałtowne reakcje, odwołując się do zdrowego rozsądku. Kiedy powiedział, że idą do biura turystycznego OK Corral, rzuciła się pędem do przodu, potracając przechodniów, jakby goniła złodzieja. Wpadła do środka i dopiero wtedy, oddychając z trudem, powoli się opamiętała.

Serena Madieros - rozpoznali ją po nazwisku na identyfikatorze - była jedną z trzech urzędniczek, które sprzedawały bilety na następny show. Sądząc po długości kolejki, nie mieli szansy zamienić z nią ani słowa, dopóki nie obsłuży wszystkich klientów. Wykorzystali więc czas na wstępną obserwację.

Pax ocenił wiek Sereny na jakieś dziewiętnaście lat. Miała kruczoczarne włosy upięte w staromodnym stylu, odpowiednim do służbowego kostiumu, czyli perkalowej sukni ozdobionej koronkową falbanką. Czarne wyraziste oczy, owalna twarz bez śladu makijażu. Szczupłe palce, z obciętymi krótko paznokciami bez śladu lakieru.

- Miła jest, prawda? - mruknęła Kansas.

- Na południowym zachodzie znane jest takie powiedzenie: *Buenos son mis vecinas, pero me faltan tres gallinas*. Mam miłych sąsiadów, ale brakuje mi trzech kur.

- Kur?

- To znaczy, że nie najmądrzej jest oceniać ludzi po ich wyglądzie. Pozory mylą.

- Wiesz co - roześmiała się Kansas - zaczynają mi się naprawdę podobać te meksykańskie przysłowia.

Natomiast Pax zaczynał coraz bardziej gustować w przyglądaniu się Kansas, gdy ruszała do akcji. Bo naprawdę było na co popatrzeć. Gdy

tylko tłum się rozrzedził, kazała mu się nie ruszać z miejsca, a sama podeszła do dziewczyny. Wyszła z założenia, że Serena łatwiej zdobędzie się na szczerść w rozmowie z kobietą.

Pax był, oczywiście, tego samego zdania, pomyślał jednak, że Kansas miałyby duże szanse zrobić karierę na scenie albo w polityce.

Nieśmiała, powściągliwa kobieta, która podeszła do recepcji nie przypominała ani prawdziwej Kansas, ani zwariowanej dziewczyny, która w barku przy księgami, wypinając dekolt i trzepocząc rzesami, owinęła sobie wokół palca biednego George'a. Teraz, lekko zgarbiona, ze złożonymi skromnie rękami i niepewną miną, musiała zdobyć sympatię Sereny i skłonić ją do zwierzeń.

Znowu rola życiowej ofiary, tylko w trochę innym wydaniu. Pax nie mógł tego pojąć. Zupełnie jakby próbował przeniknąć zawilosci duszy istoty z obcej planety. Wiedział, że Kansas szaleje z niepokoju o swojego brata. Kiedy on miał poważne zmartwienia, zamykał się w sobie i zbierał siły do walki. Instynkt samozachowawczy chronił go przed okazywaniem słabości.

Kansas w sytuacji kryzysowej zdawała się obwieszczać całemu światu: „Patrzcie, jaka jestem biedna i naiwna”. W scenie, którą odegrała dla George'a, nie wszystko było fałszem. Również przedstawienie przygotowane dla Sereny zawierało elementy prawdy. Kansas nawet z obcymi ludźmi pozwalała sobie na grę w otwarte karty, ujawniając bez oporów swoje czułe miejsca.

I w taki sam sposób całowała. Dlaczego, do wszystkich diabłów, Pax nie potrafił o tym zapomnieć...

Rozmawiała z Sereną zaledwie dwadzieścia minut. Kiedy wróciła do swego towarzysza, w oczach miała łzy.

- Jest naprawdę urocza, ale nie widziała Case'a od dwóch tygodni. Mieszka z rodzicami, w weekendy pracuje na ich ranchu, tutaj zaś od poniedziałku do piątku. Ma trzy młodsze siostry. Kiedy uzbiera dość pieniędzy, zapisze się na kurs księgowości.

- W dwadzieścia minut poznałaś cały jej życiorys? - spytał, kiedy wyszli na ulicę.

- Kobiety szybko się dogadują. To bardzo poważna, dobra dziewczyna. Poznała mojego brata na jakichś tańcach. Od razu go polubiła, zaczęli się spotykać, ale na początku była bardzo nieufna, bo Case nie miał pracy i chyba nie myślał poważnie o swojej przyszłości...

Nagle, nie wiadomo o co, Kansas potknęła się. Pax odruchowo podtrzymał ją ramieniem i tylko przez ułamek sekundy, zanim odzyskała równowagę, widział grymas bólu na jej pobladłej twarzy.

- Co się stało? Co ci jest?

Odwróciła natychmiast głowę i usunęła się na bok, zostawiając go z ręką zawieszoną w powietrzu.

- Serena powiedziała, że całymi godzinami potrafili rozmawiać. Po prostu rozmawiać, chociaż jej rodzice podejrzewali, że robią zupełnie co innego.

Uwierzyła, że Case naprawdę zaczął poważniej myśleć o życiu. Znalazł dobrą pracę, starał się jej nie stracić...

- Kansas, przestań udawać i nie idź tak szybko. Co jest z twoim kolaniem?

- Nic. Potknęłam się, bo jestem straszną oferumą... Potem opowiadała, o czym rozmawiali, o swoich marzeniach, ideałach...

- Co ci się stało w kolano?

- Powiedziała, że wszyscy uważali go za lekkoducha, który nigdy nie spoważnieje, ale, według niej, to nieprawda. Case żył po prostu z dnia na dzień, jakby nie myślał o przyszłości. Kiedy dwa tygodnie temu przestał dzwonić, bardzo to przeżywała. Myślała, że ją porzucił. Pax, ona nie należy do żadnej kretyńskiej sekty. To normalna, miła dziewczyna...

- Co do tego jesteśmy zgodni, więc przestań kuśtykać i udawać, że nic ci nie jest. Albo mi natychmiast powiesz, co się dzieje z twoim kolanem, albo wezmę cię na plecy i zaniosę do samochodu.

- Tylko spróbuj... - Zatrzymała się w pół kroku z rękami opartymi na biodrach.

Piorunując go gniewnym wzrokiem, już otwierała usta, żeby, jak sądził, sprowadzić go do parteru. Spodziewał się wykładu o wścibstwie, o granicy poufałości, której nie wolno mu przekraczać...

Tymczasem ona zamknęła usta. Zmarszczyła czoło i długo patrzyła mu w oczy. Nie miał pojęcia, nad czym tak nagle zaczęła się zastanawiać, ale w ułamku sekundy jakby zapomniała, że jest na niego wściekła.

- Jeśli chcesz, opowiem ci o tym kuśtykaniu. To długa historia, ale teraz muszę się czegoś napić. Znajdźmy jakieś miejsce, gdzie można spokojnie posiedzieć.

Saloon „Kryształowy Pałac” był najbliżej. Popołudniowe słońce rzucało mgliste światło na długi, wypolerowany bar i drewnianą podłogę. Pax łatwo mógł sobie wyobrazić grających w pokera kowbojów, bohaterów dawno minionych czasów i panienki o złej reputacji podające im drinki. Ale w tej chwili przeszłość tego lokalu niewiele go obchodziła.

Zaprowadził Kansas do najdalszego stolika przy oknie, a potem udał się do baru. Kiedy wrócił z dwoma kuflami korzennego piwa, siedziała z

nogą opartą o krzesło. Krzywiąc się z bólu, masowała oburącz prawe kolano, ale na widok piwa natychmiast się rozpogodziła.

- Odszczekuję każde złe słowo, które kiedykolwiek o tobie powiedziałam. Jesteś moim wybawcą. Jeszcze chwila i umarłabym z pragnienia.

Zignorował jej teatralny akt skruchy, czekając cierpliwie, aż przełknie pierwszy łyk piwa.

- Dobrze?

- Pyszne...

- Więc powiedz mi wreszcie, co ci się stało w nogę.

- Dobrze... ale najpierw chciałabym cię o coś zapytać. - Sięgnęła po serwetkę i przetarła nią zroszony kufel. - Od chwili, kiedy cię poznałam, mam wrażenie, że jesteś samotnikiem. Masz doskonały kontakt z ludźmi, ale w głębi duszy jesteś taki cholernie niezależny, polegasz wyłącznie na sobie... Chyba czułbyś się bardzo nieswojo, gdyby ci przyszło korzystać z czyjejś pomocy?

- Kansas, co ma piernik do wiatraka? Czy to, że jestem samotnikiem, ma jakiś związek z twoją nogą?

- Nie chciałam być wścibska. Jeżeli nie chcesz, to, oczywiście, nie musisz mi odpowiadać.

- Nie ma sprawy - westchnął zrezygnowany, zrozumiałwszy, że raczej nie ma innego wyjścia. - Jestem cholernie niezależny, i to już od szczeniaka, ale w moim przypadku nie mogło być inaczej. Moja mama umarła młodo, a ojciec dał nogę, kiedy byłem w szkole średniej. Zostawił mnie dosłownie bez grosza. - Pax wzruszył ramionami. - Bardzo szybko nauczyłem się samodzielności i naprawdę nieźle sobie radziłem. Tak więc

lubię ludzi, mam przyjaciół, ale w razie kłopotów polegam tylko na sobie, na nikim innym. Czy to jest wyczerpująca odpowiedź na twoje pytanie?

- Tak, oczywiście - odpowiedziała cicho.

Nie podobał mu się sposób, w jaki na niego patrzyła. Czuł się nieswojo. Zaczął się... denerwować. A to już było śmieszne. Wiedział przecież, że nic nie jest w stanie wyprowadzić go z równowagi.

- Kansas, co ma wspólnego historia mojego życia z twoim utykaniem?

- Wszystko. Przez to, że mamy tak różne doświadczenia, zupełnie inaczej nawiązujemy kontakty z ludźmi. Ja nie mogłam polegać na samej sobie. Z prostej konieczności musiałam się zdawać na innych.

- Z konieczności?

- W wieku czternastu lat miałam wypadek samochodowy. Połamane żebra, zmiążdżone prawe kolano, uraz kręgosłupa - powiedziała beznamiętnie, sięgając po kufel z piwem. - Lekarze mieli wątpliwości, czy będę kiedykolwiek chodzić. Pierwszy krok zrobiłam po roku. Potem jeszcze bardzo długo byłam uciążliwą dla otoczenia inwalidką. O samodzielności nie mogłam nawet marzyć.

Przez chwilę Pax milczał jak zakłęty. Krążąca po sali kelnerka, turyści czekający na wolne stoliki, donośny śmiech barmana - wszystko nagle przestało istnieć. Widział tylko oczy Kansas, niebieskie i przejrzyste jak bezchmurne niebo.

- Przepraszam, rudzielcu, nie wiedziałem. Parszywy los! Czułem, że masz za sobą jakieś przejścia, bo jak tylko zaczynasz mówić o swoim bracie...

- Tak, wiem. Myślisz, że jestem ślepo zapatrzona w Case'a, lojalna do przesady. To dlatego, że kiedyś on okazał mi wiele serca. Był wtedy

smarkaczem, ale spędzał ze mną mnóstwo czasu, podnosił mnie na duchu, kiedy chciałam się już poddać. Nie zostawię go teraz na łasce losu. To on, mały piegowaty dzieciak, nauczył mnie, czym jest miłość. Jednak...

Skrzyżowała ręce na stole i pochyliła się do przodu, jakby chciała mieć pewność, że Pax słucha jej uważnie. Nie musiała się obawiać. Ze ściśniętym gardłem i wzrokiem utopionym w jej oczach, chłonał każde słowo. Nigdy nikogo nie słuchał uważniej.

- Jednak? - powtórzył jak echo.

- Jednak... Chciałam, żebyś wiedział, że byłam wobec ciebie szczerą. Powiedziałam, że jestem ofiarą i słabeuszem i taka jest prawda. Jak na swoje możliwości, jestem teraz okazem zdrowia, ale fizycznie nigdy nie będę silna i w pełni sprawna. Brakuje mi wytrzymałości i jeśli zrobię coś głupiego, moje prawe kolano natychmiast odmawia posłuszeństwa.

W gruncie rzeczy, pomyślał Pax, miała mu do powiedzenia głównie to, że naprawdę potrzebowała jego pomocy. Może przesadzała czasami z tym robieniem z siebie ofiary, ale samotna wyprawa na drugi koniec kraju w poszukiwaniu brata nie była dla niej łatwym zadaniem.

Ogarnęło go uczucie paraliżującego niepokoju, jakby lada moment miała runąć mu na głowę lawina. Instynkt samozachowawczy zawsze w porę go ostrzegał przed różnego rodzaju komplikacjami. A kobieta burząca jego spokój stanowiła potencjalne zagrożenie. Kobieta, która tak bardzo nie pasowała do jego stylu życia, której postępowania nie był w stanie zrozumieć, która na oślep brnęła w tarapaty. To wystarczająco dużo powodów, żeby rozsądny mężczyzna miał się na baczności.

Ale jeśli dotąd chciał jej pomagać, to po tym, co mu opowiedziała, tym bardziej nie zostawiłby jej samej.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Dwa dni później Kansas wybrała się do Paxa. Miała nowe informacje, którymi chciała się z nim podzielić, a telefon przez całe przedpołudnie łączył ją z automatyczną sekretarką. Z nagranej wiadomości wynikało, że pan doktor jest w swoim gabinecie zabiegowym. Czuła się oczywiście winna, że nachodzi go bez uprzedzenia w godzinach pracy, ale obiecała sobie, że zajmie mu najwyżej kilka minut.

Swoją drogą, pomyślała nagle, Pax bardzo potrzebował kogoś, kto wtargnąłby z impetem w jego życie, bo najwyraźniej brakowało mu tego typu atrakcji.

Nie wiedziała, że jego gabinet weterynaryjny jest połączony z domem - rozłożystym budynkiem z białej cegły, podobnym do siedzib okolicznych ranczerów, z pomarańczowym, błyszczącym w słońcu dachem. Mimo że posiadłość była położona daleko od miasta, Pax ogrodził ją białym kamiennym murem. W głębi Kansas zauważyła stajnię, z przylegającą do niej zagrodą dla zwierząt. Ustawiony na dziedzińcu szyld gabinetu był wyblakły od słońca i prawie nieczytelny. Dom wydał jej się ładny, ale zakurzone okna bez zasłon pozwalały przypuszczać, że od dawna nie mieszkała w nim żadna kobieta.

Kiedy podeszła do drzwi, trzy koty wyskoczyły nie wiadomo skąd i zaczęły ocierać się o jej nogi. Całe trio nadawało się do konkursu na najbardziej zmalretowanego zwierzaka. Pasiastemu tygryskowi brakowało ucha; szarobury dachowiec miał obcięty ogon; przybłęda w biało-czarne cętki - łysy placek na lewym boku. Kansas schyliła się odruchowo, żeby

pogłaskać pierwszego z brzegu kota i znieruchomiła z ręką zawieszoną w powietrzu, słysząc zazdrosne miauczenie dwóch pozostałych.

W końcu, gdy obdzieliła swoimi łaskami wszystkie zwierzaki, wyprostowała się i zapukała do drzwi. Nikt się nie odzywał. Zajrzała do środka.

- Pax?

- Jestem tutaj, w gabinecie - usłyszała głos dochodzący z odległego kąta w prawym skrzydle domu. - Będę wolny za kilka minut. Kansas, to ty?

- Tak, to ja.

- Wszystko w porządku? Czy coś się stało?

- Nic się nie stało. Chciałam ci tylko o czymś powiedzieć.

- Dobrze, zaraz przyjdę. Zaparz sobie kawę, jeśli znajdziesz gdzieś czysty kubek.

Nie chciała kawy, ale nie miała nic przeciwko temu, żeby, korzystając z jego nieobecności, powęszyć trochę po domu. Następny kot, jeszcze bardziej poszkodowany niż te, z którymi zawarła już znajomość, łypnął na nią ślepiem ze starego, wysłużonego fotela. Jedną trzecią salonu zajmowały biurko i szafki z kartotekami. Komputer, faks i automatyczna sekretarka na pewno z powodzeniem zastępowały recepcjonistkę, ale ten nowoczesny, połyskujący sprzęt rażąco kontrastował z wystrojem reszty pokoju.

Nad starym kominkiem wisały indiańskie ozdoby. Książki i pisma medyczne, stłoczone jak sardynki w puszcze, wypełniały dwa stylowe regały. Rudobrazowa kanapa była tak długa, że wyspałby się na niej prezydent Lincoln, ale aż prosiła się o renowację. Cały pokój wyglądał równie buro, jak sierść drzemiącego na fotelu kota.

Szerokie, podwójne drzwi prowadziły do sterylnej białej kuchni. Wzrok Kansas padł na stertę pism, listów i gazet na stole. Nigdzie nawet kawałek wolnego miejsca na talerz, nie mówiąc o innych naczyniach. Blaty i zlewozmywak lśniły czystością, ale w oknach nie było firanek, na ścianach żadnych ozdób, ani śladu kobiecej ręki, która złagodziłaby wrażenie surowości, jakie dominowało w tym wnętrzu. Na jedynym krześle wisiała koszula.

Kansas spojrzała na oszklone, rozsuwane drzwi prowadzące na patio, ale wolała nie tracić czasu na wyglądanie na zewnątrz. Przeszła na palcach do wewnętrznego korytarza, w którym wisiało kilka męskich kurtek, i stamtąd do łazienki: ciemnozielone ręczniki, białe gładkie ściany, na półce pod lustrem zwykła maszynka do golenia, żadnych luksusowych mydeł ani kremów. Pax najwyraźniej obywatel się bez takich rzeczy.

W drugim końcu korytarza była sypialnia. Przestronna, słoneczna, z łamanym sufitem. Sybaryta urządziłby w takim wnętrzu swój prywatny raj. Paksowi wystarczało proste podwójne łóżko z białą pościelą, gołe, smutne ściany, puste okna, podłoga bez dywanu.

Kansas oparła się o klamkę, chłonąc nastrój samotności, który unosił się w każdym kącie tego domu.

Zastanawiała się, czy w życiu Paxa była kiedykolwiek kobieta, której pozwalał się rozpieszczać, dbać o siebie, od której nie bał się uzależnić. Podejrzewała, że nie. Kiedy opowiedział jej o swojej przeszłości, zrozumiała, że samotność wydawała mu się łatwiejszym sposobem na życie niż wspólne budowanie stałego związku... podatki, zakupy, o określonej porze ciepły obiad na stole. Liczne wzajemne zobowiązania. Samotność jest bezpieczniejsza.

Samotność jest cholernie dokuczliwa.

On potrzebuje kochanki, pomyślała gniewnie, potrzebuje jej rozpaczliwie. Kobiety z charakterem, która by nim potrzęsnęła, która dałaby mu niezapomnianą lekcję życia i przekonała, że wyrażanie własnych potrzeb wcale nie boli i nie jest równoznaczne z utratą niezależności. Ale ta, która zdobyłaby się na odwagę i spróbowała zadbać o Paxa, musiałyby mieć mocne nerwy i wytrwale dążyć do celu.

Kansas mogłaby opisać tę idealną partnerkę w najdrobniejszych szczegółach.

Nie była jednak pewna, czy miała w sobie dość ikry, tupetu i odporności psychicznej, żeby samej spróbować uporać się z tym zadaniem.

- Hej... jeżeli chcesz zajrzeć do moich szuflad, nie krępuj się.

Niech to szlag! Serce podeszło jej do gardła, ale odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Nigdy bym nie zrobiła czegoś takiego... - Nawet jej rodzona matka nie nabrałaby się na takie kłamstwo, dodała więc szybko: - W każdym razie na pewno bym nie ryzykowała, wiedząc, że możesz mnie przyłapać.

Ku jej ogromnej uldze, Pax roześmiał się.

- Jakoś nie jestem przekonany, że strach mógłby cię przed czymś powstrzymać.

- Nie przesadzaj, mam jakieś hamulce, ale czasami ciekawość jest po prostu nie do opanowania.

Może to jej afektowany ton sprawił, że Pax znowu się roześmiał, ale naprawdę nie wyglądał na zdenerwowanego. Właściwie nie powinna być zdziwiona. Pax często okazywał bezgraniczną tolerancję wobec ludzkich słabostek. Tylko do własnych nie miał cierpliwości.

Nie korciło go nawet, żeby zapytać Kansas, co robiła w jego sypialni.

- Więc... jakim pacjentem zajmowałaś się od rana?
- Starym owczarkiem niemieckim. Za chwilę wybudzi się z narkozy.

Nie wiem, co chciałaś mi powiedzieć, ale muszę natychmiast napić się kawy.

Ledwie odwrócił się, żeby pójść do kuchni, kiedy bury dachowiec przemknął między jego nogami, a tuż za nim ofiara kocich pojedynków z fotela w salonie.

- Nie cierpię kotów! - zawołał Pax przez ramię.

- Widzę.

- Te nie są moje. Mieszkam tu od sześciu lat i jeszcze nigdy nie odwiedził mnie zdrowy, ładny i zadbany kot. Przychodzą same połamańce, paskudne znajdy, których nikt o zdrowych zmysłach nie przyjąłby pod swój dach. Ja udzielam im pierwszej pomocy. Prawie wszystkie są korne, kiedy tu przyłazą. Z moich doświadczeń wynika, że nie istnieją męskie egzemplarze kotów. Spotykam wyłącznie kotki w odmiennym stanie.

- Jak na weterynarza, to bardzo ciekawy punkt widzenia. Uważasz, że zawdzięczają swoje macierzyństwo niepokalanemu poczęciu?

- Nie wykluczałbym tego. One są dziwne pod każdym względem. Gdybym kiedykolwiek zdecydował się na zwierzaka, na co zwyczajnie nie mam czasu, byłby to pies. A z całą pewnością nie kot.

- Aha...

W kuchni obserwowała, jak nieprzejednany wróg kotów zamiast nalać sobie kawy, o której podobno marzył od kilku godzin, napełnia olbrzymią miskę kocim jedzeniem. Otworzyła szafkę, żeby znaleźć kubek.

- Używasz cukru albo śmietanki? - zapytała.

- Nie.

- Oczywiście, że nie - mruknęła pod nosem. Pełna konsekwencja.

Żadnej słodyczy, pieszczot ani luksusów.

- Co ma znaczyć to „oczywiście”?

- Nic. Mówiłam do siebie. Gdzie chcesz ją wypić?

- Na świeżym powietrzu.

Świeże powietrze! pomyślała z ironią. Upał oraz pełzające i latające robale. Na szczęście patio było ocienione. Kiedy usiedli przy ogrodowym stoliku, zauważyła, że Pax nie zamknął za sobą drzwi. To najlepszy sposób, żeby wpuszczać do środka tarantule i skorpiony, ale to w końcu jego dom. Chociaż bardzo chciała jeszcze trochę powęszyć, miała pełną świadomość, że jest tu nieproszonym gościem. I na kilka minut prawie zapomniała o ważnej przyczynie, dla której zdecydowała się na tę wizytę.

- Pax, wydaje mi się, że wiem, gdzie jest mój brat.

Usłyszał podniecenie w jej głosie i poczuł, że coś ściska go w żołądku. Przez dwa dni wiódł normalne, spokojne życie. Prawie już zapomniał, jak łatwo Kansas potrafiła zburzyć cały jego uporządkowany i wolny od niespodzianek świat. Udawało jej się to za każdym razem, kiedy była niespokojna lub podniecona.

- Dobrze, więc gdzie, według ciebie, jest Case?

- W Coronado Forest. Przywiozłam mapę... - Sięgnęła po torbę.

- Poczekaj. Wiem, gdzie jest Coronado Forest. Powiedz mi lepiej, jak na to wpadłaś.

- Byłam rano u pewnej kobiety. Nawet nie wiem, dlaczego zwróciłam uwagę na jej adres, kiedy przeglądałam książkę telefoniczną. Jest jakąś tam uzdrawiaczką...

- Kansas, zmiłuj się... - jęknął Pax i zmrużył gniewnie oczy.

- Spokojnie, nie żołądkuj się. Nie miałam zamiaru sprawdzać jej zdolności uzdrowicielskich, chociaż... kto wie, może kiedyś to zrobię. Ale dzisiaj poszłam tam w nadziei, że jej wiara w zjawiska paranormalne naprowadzi mnie na ślad Case'a. I udało się. Zaczęła mówić o różnych miejscach w tej okolicy, które Indianie uważali za święte. Chodzili tam medytować, odprawiać plemienne rytuały. Podobno wyjątkowe znaczenie miał dla nich zakątek zwany Złotą Doliną w Coronado. Czy to nie wydaje ci się sensowne? Że młodzi ludzie, kultywujący praktyki religijne dawnych Indian, wybrali takie właśnie miejsce?

- Tak, to brzmi sensownie. Już dawno przyszło mi do głowy, że te szczeniaki mogły rozbić tam obóz.

Wstała i opadła z powrotem na krzesło, patrząc na niego z niedowierzaniem.

- Wiedziałeś? I nie powiedziałeś mi?

Pax westchnął z rezygnacją. Dlaczego tak trudno było się z nią dogadać? Tracił wątek rozmowy, gdyż Kansas reagowała na wszystko zbyt emocjonalnie. Czowała się urażona, kiedy jego zdaniem nie miała ku temu żadnego powodu. Sprzeczała się, kpiła, opowiadała o sobie takie rzeczy, jakby znali się od lat. Rozmawiała z nim jak z kimś bliskim, jak gdyby go znała i... niech to diabli, to nie fair wytrącać człowieka z równowagi w taki sposób.

- Kansas, jaki użytek chcesz zrobić z tej informacji?

- Muszę znaleźć Case'a. Wyciągnąć go stamtąd.

- Kotku, w Coronado jest dwanaście pasm górskich.

- Wiem, że to ogromny teren, ale jest tam tylko kilka świętych miejsc.

- To prawda. Ale dalej mówimy o szukaniu igły w stogu siana, bo te miejsca nie są zaznaczone na żadnej mapie. Indianie, z oczywistych powodów, nie zdradzali białym swoich tajemnic. Poza tym w Coronado są tak dzikie tereny, o jakich ci się nawet nie śniło. Miejsca bez żadnych wyznaczonych szlaków. Nie dotrzesz tam nawet konno, nie mówiąc już o klimatyzowanym samochodzie.

- Trudno, obędę się bez samochodu.

- Tak? Jesteś gotowa iść przez pustynię z dwudziestokilogramowym plecakiem? Masz pojęcie, jakie tam panują warunki? Wiesz, jak trzeba się chronić przed odwodnieniem? Co zrobisz, jeśli natkniesz się na grzechotnika?

- Będę wrzeszczeć jak opętana. Masz na to moje słowo. Ale w tej chwili jakoś nie mam ochoty zaprzętać sobie tym głowy. Guzik mnie obchodzi żmije i odwodnienie. Zrobię to, co muszę zrobić. Znajdę Case'a bez względu na wszystko. Jeżeli nie chcesz mi pomóc... - Zerwała się z krzesła.

- Nie powiedziałem tego. Mogłabyś usiąść spokojnie i pozwolić mi przez chwilę pomyśleć? - Pax potarł ręką brodę. - Nie byłaś jeszcze w pracy Case'a. Może jego szef albo koledzy coś wiedzą. A przede wszystkim, jeśli zdobędziesz jakieś konkretne informacje, trzeba będzie porozmawiać z szeryfem.

- Zgoda, odwiedzę jeszcze raz szeryfa. Może tym razem będę miała więcej szczęścia. Ale jeśli się dowiem, gdzie dokładnie osiedliła się ta sekta, pójdę tam. Bez względu na to, czy mi ktoś pomoże, czy nie. I nikt mi nie wybije tego z głowy.

- Kansas, zakładasz najgorszą wersję wydarzeń i to opierając się wyłącznie na domysłach. A przecież jest bardzo prawdopodobne, że twój

brat pojawi się tu pewnego dnia, opalony i kompletnie splukany po wakacyjnym szaleństwie.

- Tak, wciąż to sobie powtarzam. - Skuliła bezradnie ramiona i dopiero po chwili spojrzała mu w oczy. - Ale ja w to nie wierzę. Boję się, Pax. Z każdym dniem coraz bardziej. Jestem pewna, że wplątał się w coś niebezpiecznego. I że nie wybrnie z tego o własnych siłach.

W głębi duszy Pax myślał tak samo. Zbyt głośno było o sekcje, żeby uznać to za plotki. Całe miasto mówiło o kulcie czarownic, narkotykach, o obozie ukrytym w niedostępnych górach. Brzmiało to trochę niewiarygodnie, a Pax należał do ludzi, którzy z zasady nie wtrącają się w cudze sprawy, nie zwracał więc na te pogłoski uwagi.

- *Cuando el no suena, agua lleva* - powiedział smętnie.

- Jeszcze jedno tutejsze przysłowie?

- Tak. Kiedy rzeka szumi, niesie wodę. Innymi słowy, nie ma dymu bez ognia. Może rzeczywiście w każdej plotce jest szczypta prawdy. - Podniósł się z krzesła. Niepokój Kansas był chyba zaraźliwy. Nigdy przedtem Pax nie miał przecież problemu z usiedzeniem w miejscu.

Nigdy też nie zaprzętał sobie myśli kobietami, które zasadniczo różniły od niego charakterem. Ciągłe wierzył, że jest daleki od zakochania się w Kansas, ale był pewien, że ta kobieta wcześniej czy później przyprawi go o rozstrój nerwowy i nie miał bladego pojęcia, co z tym fantem zrobić.

Jeżeli nie będzie innego wyjścia, spakuje się i sam pójdzie szukać Case'a. W przeciwieństwie do ludzi, którym pustynia wydawała się miejscem ponurym i wrogim, on zawsze widział w niej piękno. Z czasem poznał to miejsce jak własną kieszeń i uratował wielu nieostrożnych turystów.

Kansas była ostatnią osobą, która nadawałaby się do takiej wyprawy. Nie miała instynktu samozachowawczego i źle znosiła tutejszy klimat. Odkąd Pax dowiedział się o jej wypadku i o tym, przez co przeszła, czuł się za nią podwójnie odpowiedzialny. Była dokładnie taka, jak mówiła: słaba i nieodporna.

Ale blask jej oczu poruszyłby nawet kamień, a uśmiech sprowadziłby z drogi cnoty niejednego świętego. I co za charakter! Szalona dziewczyna, uparta, impulsywna... i obdarzona wielkim sercem.

Kansas przysunęła się do niego, ale on zauważył to dopiero wtedy, gdy pociągnęła go za rękaw.

- Widziałam na podwórzu karmniki dla ptaków, ale nie miałam pojęcia, że one są dla kolibrów. Widzisz te dwa?

Tak, widział parę kolibrów, która siedziała na czerwonym daszku karmnika, trzy metry od nich. Był bardzo wdzięczny tym malutkim ptaszkom za to, że odwróciły uwagę Kansas od jej zmartwień.

- Widzisz, jak samczyk stroszy kolorowy czubek? Robi, co może, żeby spodobać się samiczce.

- Wygląda na zachwyconą... - Kansas przesłoniła dłońmi oczy. - Boże, w słońcu ich pióra lśnią jak diamenty. Diamenty, które jakimś cudem zmieniają kolor.

- Gdybyś jedno z tych piór włożyła pod mikroskop, zobaczyłabyś, że pokryte jest mnóstwem maleńkich „pęcherzyków”, które są różnej wielkości. Wydają się zmieniać kolor, bo światło odbija się od nich pod różnymi kątami.

- Co za okropne wyjaśnienie. Ale jakie naukowe! Ja wolę wierzyć, że to magia. Te ptaszki są takie maleńkie. Takie piękne i delikatne.

- Owszem. Są też rozpustne, wojownicze i niezdolne. Cały dzień kłóć się nie wiadomo o co i skaczą sobie do gardła.

- Te małe ptaszki walczą ze sobą?

- Uwielbiają walczyć. I chyba brak im poczucia tego, że są takie małe, bo te czupurne stworzenia nie znają strachu. Zaatakują orła, jeśli zbliży się do ich gniazda. Wyjątkowe głuptasy.

- To nie ma nic wspólnego z głupotą. One za wszelką cenę bronią swojego potomstwa. Chyba na tym polega miłość i lojalność? Nie wydaje ci się? Na dbaniu o swoich bliskich.

- Wcale mnie nie dziwi, że bierzesz ich stronę.

Nie po raz pierwszy Pax zauważył to zadziwiające duchowe pokrewieństwo. Kansas była niczym koliber: szalona, lekkomyślna, odważna. Hałaśliwa i barwna, ale zarazem bardzo delikatna. I nieprzewidywalna, bo ta piekielna kobieta nigdy nie postępowała według zasad, które byłby w stanie zrozumieć. Nigdy nie kierowała się rozsądkiem ani względami bezpieczeństwa.

- Żadne inne ptaki - dodał po chwili - nie nadstawiają tak chętnie karku i jestem przekonany, że robią to z czystej przyjemności.

- Hm.

Nie rozumiał, dlaczego nagle zaczęła przyglądać się jemu, a nie kolibrom, ale w jej łagodnych niebieskich oczach pojawiło się nagle coś, co wzbudziło jego niepokój. Odwróciła się raptownie i sięgnęła po swoją torbę.

- Lepiej już pójdę. Przepraszam, zasiedziałam się, a miałam ci zająć tylko kilka minut.

- Nie ma sprawy. I tak chciałem zrobić sobie przerwę. Będę zajęty jeszcze przez kilka godzin... Nie mogę zostawić moich pacjentów. Pomaga

mi pewien starszy pan, który ma na imię Hank. Zajmuje się zwierzętami, kiedy nie ma mnie w domu, ale dzisiaj będzie dopiero o trzeciej. Jeśli możesz poczekać, zawiozę cię do sklepu, w którym pracował Case.

- Byłabym wdzięczna, ale nie chciałabym sprawiać ci kłopotu.

Odprowadził ją do drzwi z uczuciem narastającej pustki w głowie.

- Kansas... - zawahał się. - Bądź tak dobra i nie wyszukuj w książce telefonicznej następnych uzdrowicielek. A przynajmniej uprzedzaj mnie o każdym swoim nowym pomysłem. Nie ma dowodu na to, że Case jest w niebezpieczeństwie, ale nigdy nie wiadomo, w co się możesz wpakować, jeśli będziesz działać na własną rękę. Zawsze co dwie głowy, to nie jedna.

- Pax, naprawdę nie musisz się o mnie martwić. - Wyjęła z torby kluczyki od samochodu. - Na pewno sobie poradzę. Ale dzięki!

Ni stąd, ni zowąd, zupełnie niespodziewanie, wspięła się na palce i pocałowała go. Nie dotykał jej od kilku dni. Nawet niewinne, przypadkowe muśnięcia w Tombstone uświadomiły mu, że powinien być ostrożny, niezwykle ostrożny, by nie obudzić drzemiącej w nim bestii.

Ale czuł się tak, jakby jego wargi zapamiętały smak niewiarygodnie aksamitnych ust Kansas, jakby jej pocałunek wypalił bolesne piętno w jego mózgu. Do głosu doszły uczucia. Nie tyle pożądanie, co byłoby zrozumiałe i wybaczone, ale uczucie osamotnienia i przejmującej tęsknoty. Pragnienie bliskości.

Chciał się z nią kochać.

Ta myśl wsączyła się w jego umysł jak plama z atramentu w białe płótno i w żaden sposób nie mógł się jej pozbyć. Kansas pragnęła go. Powiedziała mu to śmiałym, kuszącym pocałunkiem, który nie był tylko objawem zdawkowej uprzejmości. I mówiło to jej serce, które teraz biło mocniej niż skrzydła wzbijającego się do lotu ptaka.

Oczywiście potrafił nad sobą zapanować. Nie miał zwyczaju wykorzystywać słabych kobiet. To była tylko jej genialna gra. Czary. Niedorzeczna, niepojęta magia. Omal nie uwierzył, że naprawdę jej na nim zależy, że naprawdę go rozumie, zna jego ukryte pragnienia, do których nikt inny nie miał dostępu. Była taka czuła. Taka otwarta. Nie znał innej równie szalonej kobiety... równie niebezpiecznej.

Kansas przerwała nagle pocałunek i uniosła głowę. Miała zmierzwione włosy, czerwone, opuchnięte wargi i rozpiętą od góry sukienkę... Cholera, czyżby to było jego dzieło?

Wyciągnął ręce, żeby pozapinać guziki i doprowadzić do porządku garderobę Kansas, ale ona dotknęła jego policzka i uśmiechnęła się.

- Chyba będę musiała pana jakoś ośmielić. Doktorze Moore, kiedy wreszcie zaciągnie mnie pan do łóżka? - wyszeptwała.

Dziesięć palców. I wszystkie stały się nieporadne jak kciuki. Nawet gdyby od tego zależało jego życie, Pax nie był pewien, czy poradziłby sobie z tymi guzikami.

Nawet nie czekała na odpowiedź.

- Myślę, że i tak do tego dojdzie. Wcześniej czy później. Raczej wcześniej. Ale nie dzisiaj, prawda? Do zobaczenia po południu - pożegnała się z nim swobodnie, z uśmiechem i pomachała mu ręką.

Patrzył, jak odjeżdża, przekonując się w duchu, że wcale jej nie pragnie. Nie może jej pragnąć. Była tylko obcą, przypadkowo poznaną kobietą, nie z jego świata, ulotną jak wiatr. Niewiarygodne, że tak szybko mógł się do niej zbliżyć. Niepojęte, że w ogóle o tym pomyślał.

Słowo „pożądanie” jeszcze długo kołatało mu się po głowie, aż w końcu zrozumiał, dlaczego. To Kansas pragnęła jego. Właściwiej byłoby powiedzieć, że rozpaczliwie potrzebowała jego pomocy w odnalezieniu

Case'a, i niewątpliwie stąd brało się to niezwykle napięcie w ich stosunkach. Była teraz przygnębiona i samotna. Pax nie miał nic przeciwko temu, żeby służyć jej wsparciem; w takiej roli zawsze czuł się pewnie i bezpiecznie.

Gdy wreszcie zrozumiał, że to Kansas go potrzebuje, a nie odwrotnie, poczuł się o wiele lepiej.

Zresztą, nie mogło być odwrotnie. W związkach z kobietami to on był zawsze dominującą stroną. Nigdy nie okazywał słabości wobec ludzi bardziej podatnych na ciosy niż on sam. A Kansas była kruchą, słabą kobietą.

Zaciągnięcie jej do łóżka nie wchodziło w grę.

Co postanowiwszy, Pax westchnął ciężko i wrócił do domu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Spał z nią.

Kansas rozglądała się po sklepie, wczuwając się w atmosferę miejsca, w którym pracował jej brat. Mimo tradycyjnego szyldu „Sklep żelazny” można tu było kupić wszystko, co służyło do urządzenia domu: od gwoździ po oryginalną zastawę stołową czy fiołki afrykańskie na kuchenny parapet. Kansas niespecjalnie zwracała uwagę na otaczających ją ludzi, dopóki ta kobieta nie zauważyła Paxa i nie podeszła się z nim przywitać.

Pracowała w tym sklepie. Była wysoka, uczesana w krótki, misternie zapleciony warkocz. I miała piękny uśmiech.

Po pięciu sekundach Kansas z zamkniętymi oczami mogłaby dokładnie opisać jej wygląd. Cóż z tego, że nie miała na to żadnych dowodów, ale była pewna, że ta rosła brunetka o śniadej cerze i wyrazistych oczach była kiedyś kochanką Paxa. Sposób, w jaki na niego patrzyła, mówił wszystko.

A więc to tego typu kobiety go pociągały. Opanowała ją zazdrość i rozpacz. Ta kobieta była jej dokładnym przeciwieństwem; miała wszystko, czego ona nigdy mieć nie będzie.

- Kansas... - Kiedy Pax zorientował się, że stoi krok za nim, natychmiast przygarnął ją ramieniem. - To jest Laney Roundtree. Znamy się od lat. Wprawdzie nie ona przyjmowała do pracy Case'a, ale zna go.

Laney natychmiast wyciągnęła rękę i uśmiechnęła się promiennie.

- Miło mi cię poznać, Kansas. Często martwię się o Case'a. Wszyscy byliśmy zaskoczeni, kiedy nagle przestał pojawiać się w pracy. Odnosiliśmy bowiem wrażenie, że jest mu tu naprawdę dobrze.

- Mnie też jest bardzo miło cię poznać, i dzięki, że wspomniałaś o moim bracie. Właśnie dlatego tu jestem. Z powodu jego zaginięcia. Miałam nadzieję, że uda mi się porozmawiać z kimś, kto z nim pracował. A może Case nawiązał tu jakieś przyjaźnie?

- Cóż, mogłabyś porozmawiać z szefową. Jane Edgars prowadzi ten sklep i ona go przyjmowała. Ale zacznij raczej od Randy'ego. To jeden z chłopców pracujących w magazynie. Codziennie wychodził z Case'em na lunch. W tej chwili jest na zapleczu. Na drzwiach jest tabliczka „Tylko dla personelu”, ale możesz tam spokojnie wejść.

Kansas podejrzewała, że pani Roundtree chce zostać sam na sam z Paksem. Trudno, zazdrość zazdrością, ale lepiej porozmawiać z tym

chłopcem w cztery oczy. Miała bardzo skuteczne metody nakłaniania ludzi do szczerości, a Pax zdawał się ich nie pochwalać.

Znalazła Randy'ego bez kłopotu. W pocie czoła rozpakowywał wielkie kartonowe pudła. Był młodym chłopcem o muskularnych ramionach i dziecięcej twarzy, który bardzo przypominał Case'a,

Śmiertelnie ją przestraszył.

Dwadzieścia minut później wyszła z magazynu na miękkich nogach, nie całkiem zdając sobie sprawę z tego, dokąd idzie, dopóki Pax nie chwycił jej za ramiona.

- Hej, dobrze się czujesz?

- Tak...

- Znalazłaś tego chłopaka?

- Oczywiście. Rozmawiałam z nim.

- Co się stało? Co on ci powiedział?

Dopiero kiedy wydostali się z zatłoczonego sklepu i wsiedli do samochodu, zaczęła mówić.

- Wciąż próbowałam wierzyć, że Case nie wplątał się w nic poważniejszego niż stawianie kabały. Tak sobie, dla zabawy, zresztą ja też pochłaniam książki o magii, wróżbach, parapsychologii... Mnóstwo ludzi się tym interesuje. - Opadła na oparcie fotela. - Ten Randy to jeszcze dzieciak. Jest normalny, prostolinijny. Bardzo miły. Podobny do mojego brata. Tylko że nagle zaczyna mi mówić o istnieniu czarownic, o rytuałach oczyszczenia, które uwalniają nas od demonów i złych duchów. A dopiero mając czystą duszę, możemy ponownie stać się częścią natury. Najgorsze, cholera, jest to, że on naprawdę wierzy w to, co mówi... Jadę do Nogales.

- Do Nogales?

- Randy dał mi namiar na jakiegoś Miguela, który prowadzi tam sklep i prawdopodobnie jest dobrym znajomym Case'a. Podobno do Nogales jest niedaleko. Myślę, że mogłabym tam dotrzeć jeszcze dzisiaj.

- Owszem, niedaleko. To miasto graniczne. Tłumy turystów jeżdżą tam tylko po, żeby zrobić zakupy po stronie meksykańskiej. Żadna kobieta nie powinna pokazywać się tam wieczorem bez towarzystwa.

Spojrzała na zegarek, a potem na Paxa.

- Zabrałam ci kolejne popołudnie. Na pewno musisz zająć się zwierzętami i masz jeszcze tysiące innych obowiązków.

- Kobiety nie jeżdżą tam same wieczorem - powtórzył.

- Nawet zawodniczki karate. To niebezpieczne, rozumiesz? Do Nogales możesz wybrać się tylko w dzień.

- Nie przejmuj się mną, Pax. Domyślam się przecież, że ten wieczór masz zajęty.

- Słucham?

- Myślę o Laney. Jest bardzo ładna. I wygląda na miłą.

- Kansas poprawiła wisiorki na swojej bransoletce. - Podejrzewam, że zaprosiła cię na kolację, żeby odnowić dawną zażyłość.

- Kansas... - Pax musiał nabrać powietrza. - Nie wiem, dlaczego rozmowa o twoim bracie i Nogales zeszła nagle na osobę Laney, ale trafiłaś jak kulą w płot.

- Rozumiem.

- To moja przyjaciółka.

- Rozumiem.

- Nie rozmawiałaś z nią nawet pięciu minut. Nie mam pojęcia, jakim cudem doszłaś... do tak śmiałych wniosków.

Kansas kiwnęła pobłaźliwie głową.

- Myślę, że to dość dawna historia. Sprzed trzech lat?

- Czterech... - Gdy tylko wymknęło mu się to słowo, spojrzał na Kansas jak na zjawę. - Oczywiście nie miałem zamiaru tego mówić, ale ty byś i z kamienia sok wycisnęła.

- Taka już jestem. Ale to nie była zdrada tajemnicy państwowej. - Uśmiechnęła się słodko. - Więc dlaczego się nie ułożyło?

- Dlaczego co się nie ułożyło?

- Wasz związek. Muszę przyznać, że ten gładki warkoczyk zrobił na mnie piorunujące wrażenie. Kobiety, które pracują przez cały dzień i wyglądają tak, jakby właśnie wyszły od fryzjera, budzą we mnie mordercze instynkty. To nienormalne. Chore. Ale nie zauważyłam innych mankamentów urody. - Kansas poprawiła wisiorki na bransoletce. Po raz kolejny. - Wygląda na bardzo wysportowaną. Podejrzewam, że w większości spraw dobrze się rozumieliście. Laney jest taka zrównoważona, pewna siebie, chyba zawsze wie, czego chce. Na pewno o ciebie dbała. Jeśli chodzi o typ urody, musiała ci się podobać, bo inaczej nie byłoby sprawy. Więc co nie zagrało?

- A co byś powiedziała na to, gdybyśmy zrobili coś bardzo dziwnego, a co jeszcze nigdy nam się nie udało? To znaczy byśmy zakończyli jeden temat, zanim poruszymy następny. O ile dobrze pamiętam, mówiliśmy o tym, że nie pojedziesz do Nogales.

- Och, znowu byłam zbyt ciekawska, tak? Posunęłam się za daleko?

- Tylko nie trać energii na udawanie skruchy. Nic nie jest w stanie pohamować twojego wścibstwa.

- Co prawda, to prawda. Ale ty nie musisz czuć się zobowiązany do zaspokojenia mojej ciekawości.

- Niech to diabli! - Pax westchnął głośno, tak jak to robią zmęczeni walką mężczyźni. - Oczywiście zawsze musisz postawić na swoim. Więc po pierwsze „tak”, to znaczy Laney zaproponowała mi wspólną kolację, a po drugie „nie”, to znaczy nie umówiłem się z nią na wieczór. Ani dzisiejszy, ani na żaden inny. A rozstaliśmy się w przyjaźni. Nie było żadnych dramatów. Ona po prostu oczekiwała stałego związku, a ja się do tego nie nadaję. Lubię chodzić własnymi drogami, potrzebuję czasu dla siebie. Mówiłem ci przecież, jak ważne jest dla mnie poczucie niezależności. Byliśmy dobrymi przyjaciółmi, ale niezbyt dobranymi kochankami, i tyle. Jesteś zadowolona? Czy może chciałabyś wiedzieć coś jeszcze?

- Założę się, że Laney nigdy wtykała nosa w twoje prywatne sprawy.

- Masz rację. Nigdy.

- I pewnie nigdy nie wierciła ci dziury w brzuchu, żebyście pogadali o swoich problemach.

- Nigdy nie wierciła mi dziury w brzuchu w żadnej sprawie. Była miła, pogodna, nie stwarzała sztucznych problemów. W przeciwieństwie - dodał znaczącym tonem - do kilku innych znanych mi kobiet.

- Hm... Więc to jest twój typ? Łagodna? Wyciszona? Nie narzucająca się... Po prostu taka, która daje ci święty spokój?

- Lubię spokój. Ale dosyć tego. Wykorzystałaś swoją pulę pytań, a teraz wróćmy do Nogales...

- Zostawmy to, jeśli tak bardzo się o mnie martwisz, nie pojedę do Nogales. Nie ma sprawy.

Są dwa miasta o nazwie Nogales: jedno po amerykańskiej stronie granicy, drugie po meksykańskiej. Obydwa gwarne, zatłoczone, pełne mrocznych zakamarków.

Zaparkowali po amerykańskiej stronie, niedaleko przejścia granicznego, a dalej postanowili iść pieszo.

- Trzymaj torbę pod pachą i nie zgub się - komenderował Pax.

- Tak jest, szefie! Fantastyczne! - mruknęła Kansas, z zachwytem w oczach przyglądając się kolorowemu tłumowi.

W dzień miasto nie wyglądało groźnie, tylko szaleni motocykliści straszili objuczonych zakupami przechodniów. Ale po zmroku, kiedy w ciemnych uliczkach i zaułkach wystawiano na sprzedaż zupełnie inne towary, atmosfera tego miejsca zmieniała się diametralnie.

Ledwie stracili z oczu światła przejścia granicznego, Kansas stała się obiektem niedwuznacznych męskich zaczepk.

- Zdaje się, że im tu brakuje rudego towaru - powiedziała z wściekłością.

- Uprzedzałem cię, prawda?

- Spokojnie, nie denerwuj się. Mieszkam w St. Paul i widziałam nie takie rzeczy.

- To nie jest irlandzkie miasto, a po prostu inny kraj.

- Fakt, mogłam pomalować włosy czarną pastą do butów - przyznała, kiedy następny ciemnooki zalotnik gwizdnął za jej plecami. - Daleko jeszcze do tego Miguela?

- Kawalek.

Maleńki sklepik Miguela znajdował się w samym środku ogromnego ulicznego targowiska. Sprzedawcy stali na zewnątrz i zaczepiali każdego przechodnia. Kobietom prawili komplementy, proponując wszystko, o czym tylko panie mogły zamarzyć, jak i to, o czym z pewnością nie marzyły.

Kansas przytuliła się demonstracyjnie do Paxa. Mijali stragany ze srebrną biżuterią, ubraniami, ceramiką, wyrobami ze skóry, dywanami i makatkami, które w każdym łowcy okazji powinny wzbudzić szal zakupów.

Nawet się nie rozglądała. Szła uśmiechnięta, z wysoko uniesioną głową, ale jej palce zaciskały się kurczowo na żebrach Paxa. On jeden wiedział, że jest zdenerwowana. Niczym starzy kochankowie, mimo ogromnej różnicy wzrostu, szli płynnym, rytmicznym krokiem. Jej biodra ocierały się o jego nogi, czuł zapach jej perfum i ciepło dłoni.

Chociaż nie próbowała wracać do wczorajszej rozmowy, on wciąż o niej myślał. Ludzie, którzy choć trochę go znali, wiedzieli, jak bardzo Pax ceni własną prywatność i do głowy by im nie przyszło wypytywać go o tak osobiste sprawy. Nikomu, oprócz niej. Kansas była bezwstydnie wścibska i uparta jak osioł. Jeśli chciała się czegoś dowiedzieć, z premedytacją używała wszelkich kobiecych sztuczek, z szantażem psychicznym włącznie.

Doskonale zdawał sobie sprawę, do czego zmierzała w tej rozmowie o Laney. Chciała go przekonać, że wybierał nieodpowiednie partnerki. Spokojne, które nie wierciły mu o nic dziury w brzuchu, nie potrafiły zaleźć mu porządnie za skórę ani wyprowadzić go z równowagi. Jak gdyby normalny mężczyzna potrzebował partnerki, która od czasu do czasu doprowadza go do szału. Kansas próbowała mu uświadomić, jak wiele tracił, zadając się z kobietami miłymi, rozsądnymi i zrównoważonymi psychicznie.

- Pax? - Zatrzymała się gwałtownie, w samym środku tłumu.

- Co się stało?

- Zaraz dostanę czkawki. I chyba zrobił mi się pęcherz na prawej pięcie. Poza tym ciągle nie mam pomysłu, od czego zacząć rozmowę z tym facetem.

- Nie powiesz mi chyba, że jesteś zdenerwowana? Widziałem cię już kilka razy w akcji i wiem, na co cię stać.

- Nie jestem zdenerwowana, tylko przerażona. To zupełnie inna sytuacja. Jeżeli ten Miguel nic nie wie o moim bracie, to stracimy trop. A jeśli nie będzie chciał mówić...

- Będzie mówił. - Schylił się, żeby ją pocałować. Nie lubił i nie miał zwyczaju zachowywać się impulsywnie, ale to było silniejsze od niego. Na bladej twarzy Kansas pojawiły się rumieńce, a w końcu nawet uśmiech. I właśnie o to mu chodziło: żeby przestała się bać. O nic więcej...

- Czy to miał być środek na uspokojenie?

- Nie masz powodu denerwować się z powodu Miguela. - Pokusa pocałowania jej raz jeszcze była tak silna, że na wszelki wypadek Pax wcisnął obie ręce do kieszeni. - Skoro mieszka po tej stromej granicy, podejrzewam, że rozmowa odbędzie się po hiszpańsku. To znaczy, że ty będziesz siedzieć cicho, a ja go spróbuję przyprzeć do muru.

Znalezienie stoiska Miguela zajęło im sporo czasu. Nie różniło się ono niczym specjalnym od dziesiątek innych straganów z biżuterią. Młody człowiek wylewnie przywitał po hiszpańsku Kansas, najwyraźniej wyczuwając w niej klientkę, ale kiedy Pax stanął u jej boku, Miguelowi zrzędała nieco mina.

Niski, z dużą blizną na policzku, wyglądał na zabiedzonego i zmęczonego pracą. Gdyby nie męski błysk w oku, kiedy zerkał na Kansas, sprawiałby wrażenie dziecka, które o wiele za wcześnie poznało ciemną stronę życia.

Kiedy Pax wymienił imię Case'a, Miguelowi stężała twarz. Powiedział po hiszpańsku, że nie zna nikogo o tym imieniu. Nic nie słyszał o sekcie religijnej odwołującej się do starych rytuałów indiańskich. Nigdy nie był w Coronado, bo przecież Meksykanom nie wolno przekraczać granicy, a on nie chce wchodzić w konflikt z prawem.

Chłopak nie umiał kłamać, a z jego oczu wycierał strach i nieufność. Pax był doświadczonym ratownikiem i mnóstwo razy miał do czynienia z ludźmi ogarniętymi paniką. Przemawiał do Miguela spokojnie, próbując wzbudzić w nim choć odrobinę zaufania, ale chłopak pozostawał niewzruszony.

Kansas przysunęła się bliżej i wskazała ręką tacę z kolczykami. Potem otworzyła torbę.

- Chcesz coś kupić? - zapytał.

- Kupię całą tacę... jeżeli powiesz, gdzie jest mój brat. - Nim Pax zdołał ją powstrzymać, wyjęła portfel i pokazała chłopcu plik banknotów.

Miguel nie od razu zrozumiał, że gotowa jest kupić wszystkie kolczyki. Przede wszystkim dlatego, że Pax odmówił przetłumaczenia jej dziwacznej oferty.

- Kansas, on cię weźmie za frajerkę.

- Będzie miał rację. Jestem frajerką. - Wysunęła jeszcze raz banknoty, żeby Miguel mógł ocenić ich wartość. - Powiedz mu, że to wszystko będzie jego, jeśli udzieli mi ważnych i prawdziwych informacji o bracie.

- I w tym cały problem. Bo skąd będziesz wiedziała, że cię nie okłamał?

- Pax, on wygląda tak, jakby od tygodnia nie miał nic w ustach. Więc nawet jeśli stracę te głupie pieniądze, to co? Może rozwiążą mu trochę język.

Rozwiązały. Chłopak, nie spuszczać wzroku z banknotów, mówił bez chwili przerwy przez piętnaście minut. Kiedy skończył i pieniądze zmieniły już właściciela, uścisnął rękę Kansas i zwrócił się do Paxa: „*La mujer y las tortillas, calientes han de ser*”.

- Co on ci powiedział na koniec? - spytała, kiedy znaleźli się na głównej ulicy.

- Jeszcze jedno z miejscowych przysłów. „Kobiety i tortille powinny być gorące”. Myślę, że chciał w ten sposób pochwalić mój gust w wyborze kobiet. I twój płomienny temperament.

- Płomienny? - Po raz pierwszy tego dnia Kansas roześmiała się. - Dlatego miałeś taką niewyraźną minę?

Czuł się gorzej niż niewyraźnie. Kansas wracała do domu bogatsza o sto par kolczyków oraz tacę. On miał mnóstwo informacji o miejscu znanym jako Dolina Złota, gdzie obozowała grupa młodzieży zafascynowanej praktykami religijnymi dawnych Indian. Nie było jednak żadnej możliwości sprawdzenia, ile w opowieści Miguela było prawdy.

- Jedno jest pewne - odpowiedział po chwili. - I ustalmy to raz na zawsze: nigdy nie zabiorę cię do Las Vegas.

- Posłuchaj, Pax, nie o to chodzi, ja nie jestem hazardzistką. Uważam po prostu, że można blefować, kiedy sprzyja temu odpowiednia pora i miejsce. Ale czasami trzeba iść na całość. Znaleźliśmy się w ślepym zaułku. Wiadomo było od początku, że Miguel nie chce mówić. Nawet jeśli trochę nazmyślał albo przesadził, mamy wreszcie jakiś trop. On zna Case'a. Widziałam, jak zareagował na jego imię.

- Zgadzam się. Zna go na pewno.

- Więc co ci powiedział? Zrozumiałam kilka słów: *Coronado, Sierra Vista i Valle de Oro* - Dolina Złota, ale to tylko nazwy miejsc. - Widząc, że Pax się waha, zaczęła prawie krzyczeć. - Powiedz mi wreszcie, do cholery! Wszystko! Miguel trajkotał kilkanaście minut jak karabin maszynowy...

- Powiem ci wszystko słowo po słowie - odrzekł - jeżeli obiecasz, że wysłuchasz tego spokojnie. Żadnych decyzji. Żadnej akcji. Pamiętaj, że to są opowieści wyrostka, który pewnie połowę tego zmyślił, żeby wyłudzić od ciebie pieniądze.

- Pax, Pax... - Kansas wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. Żarliwość tego pocałunku stała w dziwnej sprzeczności z powagą, malującą się w jej wzroku. - Myślałby kto, że jestem taka impulsywna. Zaufaj mi.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wrócili z Nogales. Pax właśnie odjechał, a Kansas cisnęła torbę na blat kuchenny, kiedy zadzwonił telefon. Spodziewała się, że to jej matka, bo ostatnio rozmawiały ze sobą dwa dni temu. Chwyliła słuchawkę aparatu bezprzewodowego i przycisnęła ją ramieniem do ucha.

- Nie, nie, mamusiu. Po prostu wyjechałam na kilka godzin. Z doktorem Moorem. Opowiadałam ci o nim. Nie, wiesz przecież, że zadzwoniłabym, gdybym dowiedziała się czegoś nowego: Obiecałaś, że zostawisz ten kłopot na mojej głowie i nie będziesz się martwić, pamiętasz? Po to tu jestem.

Jej głos brzmiał spokojnie i kojąco, ale ręce poruszały się jak w dzikim transie. Otwierała po kolei wszystkie szuflady w nadziei, że znajdzie w nich mapę. Nie zwykłą mapę - takich miała już kilkanaście. Kiedy Pax rozmawiał z Miguelem, znowu usłyszała nazwę: Dolina Złota. Jej brat na pewno był z przebywającą tam grupą. A jeśli trafił do ich obozu, musiał mieć mapę z wyrysowaną trasą albo przynajmniej jakieś dokładne wskazówki...

- Nie, mamusiu, nie widziałam go, ale chyba wiem, gdzie teraz jest...
- Zostawiła otwarte szuflady i wpadła do pokoju dziennego, żeby przeszukać biurko i regały. - Posłuchaj, mamuś, wiem, że się martwisz i jesteś zdenerwowana. Ja też. Nie mam zamiaru cię okłamywać i mówić, że wszystko jest cacy i nie ma się czym przejmować. Ale jak tylko tu przyjechałam, byłam nieprzytomna ze strachu. Myślałam, że Case nie daje znaku życia, bo leży połamany w jakimś rowie. Ale to nie jest tak. Myślę, że nic mu nie jest. Nie ma powodu przypuszczać, że miał wypadek i trafił do szpitala. Nic z tych rzeczy... Kupiłam ci dzisiaj kolczyki... No właśnie, sama powiedz, czy miałabym głowę do zakupów, gdybym myślała, że Case'owi stało się coś złego?

W sytuacji kryzysowej dla jej matki nie było rzeczy niemożliwych. Poruszyłaby niebo i ziemię i wdarła się przemocą do gabinetu samego prezydenta. Ale należała też do osób, które głęboko przeżywają każde, nawet najmniejsze zmartwienie. Gdyby Case potrzebował pomocy rodziny, Kansas powiedziała by całą prawdę, ale dopóki nie było to konieczne, uważała, że rolą córki jest uspokajać matkę, a nie straszyć ją na zapas.

- Mamusiu, naprawdę nie wiem. Podejrzewam, że związał się z jakąś grupą młodych ludzi w swoim wieku. I chyba wiem, gdzie jest.

Powędrował z nimi w góry, ale opowiem ci wszystko dokładnie za kilka dni, gdy będę miała pewność.

Zostawiła zdemolowany jak po rewizji pokój i wpadła do sypialni. Do diabła, żeby iść w góry, musi się jakoś przygotować, znaleźć plecak, odpowiednie ubranie... Wyjęła z szuflad wszystkie T-shirty i krótkie spodnie, cisnęła je na łóżko i zajrzała do garderoby. W kącie na podłodze znalazła parę fantastycznych pionierek - rozmiar 43...

Na dźwięk dzwonka poderwała się na równe nogi i spojrzała na zegarek. Wpół do dwunastej? Pax wyszedł kilka minut temu, a nikt inny w tym mieście nie znał jej na tyle dobrze, żeby pozwolić sobie na wizytę o tak późnej porze.

Chyba że... - rzuciła się pędem do drzwi - sprawa dotyczyła jej brata.

- Mamusiu, muszę kończyć. Ktoś dzwoni do drzwi... Nie wiem, kto to może być. Odezwę się do ciebie jutro, dobrze? Mamusiu, proszę, przestań sobie wyobrazać najgorsze rzeczy, bo wpędzisz się w chorobę nerwową. Daj spokój, na amnezję ludzie zapadają tylko na filmach... Obiecuję, że zadzwonię, jak tylko będę wiedziała coś konkretnego.

Nie odkładając telefonu, spojrzała w wizjer, i otworzyła ze zdumienia usta, gdy rozpoznała twarz Paxa. Serce podeszło jej do gardła. Bóg raczy wiedzieć, po co wrócił, ale natychmiast otworzyła drzwi.

Kiedy wszedł do środka, wskazała mu palcem telefon. Kiwnął ze zrozumieniem głową.

- Mamusiu, zadzwonię do ciebie jutro, przysięgam, ale teraz naprawdę muszę kończyć. Ja też cię kocham. Ucałuj ode mnie Mike'a. Tak, uważam na siebie. Nie, nie zapominam o jedzeniu! Dobranoc!

Z ciężkim westchnieniem przerwała połączenie i obróciła się wokół własnej osi, ale Pax zniknął już z pola widzenia.

Zdawała sobie sprawę, że dom wygląda jak pobojuwisko, i oczywiście Pax to zauważył. Stał na środku pokoju, z rękami wciśniętymi w kieszenie, patrząc osłupiałym wzrokiem na wyciągnięte z biurka szuflady, porozrzucane książki, stertę papierów na podłodze.

- Co się stało? Zapomniałeś o czymś?

- Tak. - Odwrócił się i zmierzył ją lodowatym spojrzeniem. - Omal nie zapomniałem, że nie mogę ci ufać.

Kansas uniosła groźnie brwi.

- To powiem ci coś, o czym jeszcze nie wiesz. Możesz mi ufać jak samemu sobie.

- Mamy chyba na myśli inny rodzaj zaufania. Nie ujechałem dziesięciu kilometrów, kiedy coś mnie tknęło. Zachowywałaś się zbyt rozsądnie po rozmowie z Miguelem, jakbyś próbowała wyprowadzić mnie w pole. Przestraszyłem się, że możesz zrobić coś głupiego. No i, jak widać, miałem rację.

- Jeżeli odnosisz wrażenie, że wpadłam w amok... to masz świętą rację. Mam dosyć czekania z założonymi rękami.

- Więc dlaczego nie byłaś ze mną szczerą?

- Bo nie wierzyłam, że się zgodzisz. Nie spodobały ci się moje plany. Pax, zrozum, ja nie muszę z nikim więcej rozmawiać. To nie ma sensu. Dowiedziałam się wystarczająco dużo, żeby osiwieć ze strachu. Myślę, że jest czas na rozsądek i czas, kiedy trzeba posłuchać głosu serca. Pójdę w te góry i znajdę go. I nie próbuj mnie powstrzymać. Szkoda twojego czasu.

Nie próbował. Zniknął na chwilę i wrócił ze szklanką whisky.

- Twój brat ma niezbyt wybredny gust. Pewnie rozboli cię głowa po dwóch łykach, ale napij się, rudzielcu. *De decir y hacer hay mucho que ver.*

- Co to znaczy?

- Źe, niestety, od słów do czynu jest daleka droga. Bez względu na to, co chcesz zrobić i na ile szalony jest twój plan, jego realizacja wymaga sporo czasu i wysiłku. Możesz sobie być w amoku, jeśli chcesz, ale usiądź, napij się i wyrzuć to z siebie.

Kansas usiadła posłusznie na kanapie i wypła potężny łyk whisky. Pomogło. Nie pamiętała, kiedy ostatnio tak się bała. Gdy w drodze do domu, po spotkaniu z Miguelem, Pax tłumaczył ich rozmowę, wiedziała, że nie mówi jej całej prawdy, tak jak ona nie powiedziała wszystkiego swojej matce. Ale dowiedziała się wystarczająco dużo z książek Case'a.

Sama religia Indian to jeszcze nic groźnego. Prawdziwym problemem były używane w celach rytualnych rośliny halucynogenne. Plemiona Zunis, Pueblo i Navajo używali datury już dawno, dawno temu. Współcześni Indianie zarzucili ten zwyczaj. Dzisiaj każdy człowiek o zdrowych zmysłach zdawał sobie sprawę, że to niebezpieczny środek o działaniu narkotycznym.

- No, nie próbuj mnie teraz brać na spokoj - powiedział łagodnie. - I wreszcie przyznaj się, co ci naprawdę chodzi po głowie.

Spojrzała na niego, ale nie mogła wydusić z siebie słowa. Przez cały czas myślała o tym wszystkim, co Pax wyciągnął z Miguela. W dawnych czasach odrobinę narkotyku, który wywoływał wizje, dodawano do jedzenia albo picia. Nie po to, żeby zafundować sobie „odjazd”. Celem było oczyszczenie duszy. Jeżeli człowiek po zażyciu datury widział demony, to oznaczało, że powinien uwolnić się od złych duchów.

Halucynogeny były podawane między innymi podczas obrzędów inicjacyjnych, tak zwanych „rytuałów przejścia”. I nie miało to nic wspólnego z sięganiem po owoc zakazany czy dodawaniem sobie

animuszu. To nie była sprawa młodzieńczego buntu. Chodziło o potrzebę dotarcia w głąb siebie samego i odkrycia „jedynej prawdy”.

Jedynej prawdy? A niech ją... W encyklopedii medycznej Kansas wyczytała, że ziele Jimson, jak potocznie nazywana jest w Stanach Zjednoczonych datura, należy do roślin trujących o właściwościach halucynogennych i narkotycznych. Zawiera silny alkaloid zwany atropiną. Przedawkowanie tej substancji może być fatalne w skutkach.

Mdliło ją na samą myśl, że Case dał się wciągnąć w takie bagno. Wiedziała, że jest łatwowierny i rzeczywiście mógł uwierzyć, że datura jest nieszkodliwym środkiem, jeżeli tak właśnie powiedziało mu kilku zaufanych przyjaciół.

- Nie wymyśliłabyś lepszego sposobu, żeby napędzić mi stracha - mruknął posępnie Pax. - Kiedy robisz się taka milcząca, wiem, że jest naprawdę niedobrze.

- Ja... Ja po prostu nie mogę dłużej czekać. Ani chwili dłużej. Już dwie osoby wspomniały o Dolinie Złota. Zgadzam się z tobą, że łażenie na oślep po Coronado w poszukiwaniu jakiejś świętej doliny to czyste szaleństwo. Ale nic mnie to nie obchodzi. Musi być jakiś sposób na znalezienie tego miejsca. Idę szukać Case'a.

- Nie, nigdzie nie idziesz.

- To nie dotyczy ciebie, kochanie. - To czułe słowo wymknęło jej się z ust bezwiednie. Pax na pewno wolałby go nie usłyszeć, zresztą była to najmniej właściwa pora na stwarzanie komplikacji natury uczuciowej. - To nie dotyczy ciebie - powtórzyła cicho. - To moja sprawa. Case jest moim bratem.

- Rozumiem. Ale zanim zrobisz cokolwiek, powinnaś jeszcze raz porozmawiać z szeryfem. - Podniósł rękę, zanim zdążyła zaprotestować. -

Pozwól mi skończyć. Zaczniemy dzień od wizyty w jego biurze. Możemy być tam przed świtem, jeśli sobie życzysz. Ale do tego czasu nie wpadnie ci do głowy żaden głupi pomysł! Rozumiemy się?

- Tak.

- Wiem, że on nie zrobił na tobie dobrego wrażenia, i niewykluczone, że jutro też nam nie pomoże. Twój brat, włóczęg z bandą nawiedzonych szczeniaków, nie łamie przecież prawa, a my nie mamy żadnych dowodów na to, że grozi mu niebezpieczeństwo. Ale znam Simona. Przynajmniej nas wysłucha i może w końcu dowie się czegoś więcej o tej sekcie. Czy wolno ci zrezygnować choćby z tak nikłej szansy?

- Nie.

Kamień spadł mu z serca, ale wciąż nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

- A więc porozmawiamy z szeryfem... ale bez względu na to, co powie, możesz być spokojna, rudzielcu, bo ja sam się tym zajmę. Znam te góry. Muszę mieć trochę czasu na załatwienie swoich spraw, skompletowanie sprzętu i dogadanie się Hankiem, który zostanie na gospodarstwie. Ale jestem zdecydowany znaleźć tę dolinę i twojego brata, jeżeli on rzeczywiście tam poszedł. Obiecuję. Słyszysz, co mówię?

- Tak - powiedziała cicho, czując, że jest bliska płaczu. Pax stanął po jej stronie, mimo że się z nią nie zgadzał.

Nie domyślał się nawet, jak bardzo doceniała ten wielkoduszny gest. W całym swoim dorosłym życiu nie poznała mężczyzny, który traktowałby ją poważnie. Pax jako pierwszy skłonny był wysłuchać jej zdania.

- No więc... Zgadzasz się na mój plan? Rano pojedziemy do szeryfa, a dzisiaj nie zrobisz już żadnego głupstwa.

- Obiecuję - powiedziała szczerze. Do tej części planu nie miała żadnych zastrzeżeń, a co do reszty... Jutro też jest dzień.

- Cholera jasna! - Ranek był spokojny i nie zapowiadał żadnych wstrząsów, dopóki Pax nie trzasnął z całej siły drzwiami swojego pikapa. - Kansas, wybij to sobie z głowy. Nigdzie nie idziesz!

- Nie wiem, czemu tak się wściekasz. Nie zabieraj mnie, jeśli nie chcesz. Mogę iść za tobą, albo sama. Chcesz pączka? Są w kuchni.

- Nie chcę żadnych pączków!

- Ale może jednak wejdiesz do środka. Szklanka pysznej mrożonej herbaty na pewno cię uspokoi.

- Jestem spokojny! - Nieprawdopodobne. Nigdy dotąd nie dał się wyprowadzić z równowagi kobiecie. - Jestem zupełnie spokojny - powtórzył. - To ty nie potrafisz spokojnie i logicznie myśleć.

- Owszem, myślę bardzo logicznie - odpowiedziała opanowanym głosem, kiedy weszli do kuchni. Wyjęła z lodówki dzbanek z herbatą i rozlała ją do dwóch szklanek. - Wiadomo było z góry, jak nam pójdzie rozmowa z szeryfem. Właściwie nie ma się czego czepiać. Wysłuchał nas cierpliwie i był bardzo słodki. A propos, chcesz cukru do herbaty?

- Nie.

- Głupie pytanie. Przecież wiem, że nie pozwoliłbyś sobie na taką rozpustę... Ale wracając do Simona. Świetnie rozumiem, dlaczego nie chce nawet kiwnąć palcem w tej sprawie. Facet po prostu nie jest w stanie pojąć, dlaczego ja się tak martwię. Mój brat jest pełnoletni, samodzielny i nie miał żadnego obowiązku uprzedzać rodziny, że rzuca wszystko i znika na jakiś czas. Robił tak wielokrotnie. Simon wykonał to, co do niego należało. Sprawdził meldunki policyjne i szpitale, ale nie może zorganizować akcji poszukiwawczej.

Nie ma takich możliwości, dopóki nie ma dowodów na to, że Case jest w niebezpieczeństwie. Szeryf jest święcie przekonany, że jestem nadopiekuńczą siostrą. Ale mimo to...

Przeszła do pokoju, odstawiła szklanki z herbatą i usiadła na kanapie. Potem poprawiła poduszkę i kiwnęła na Paxa, żeby usiadł obok. Nie chciał siadać. Miał ochotę udusić ją. Pałaszując kolejny pączek, szczebiotała jak najęta.

- Mimo to wysłuchał cierpliwie mojego wykładu o daturze. Musiał słyszeć wcześniej o grupie, która założyła obóz w górach i ich dziwnych obrzędach. Widać to było po jego oczach. Ale nie miał pojęcia o narkotykach. Myślę, że wzięłby się szybko do roboty, gdybyśmy dostarczyli mu parę dowodów na to, że te dzieciaki eksperymentują z halucynogenami...

- Kansas, ja dokładnie pamiętam, co on powiedział. Nie musisz mi tego wszystkiego powtarzać. Byłem tam. I obiecałem ci, że pójde w te góry i znajdę twojego brata. Sam. Umówiliśmy się...

- Nie obiecywałam nigdy, że nie pójde z tobą - powiedziała łagodnie.

- Nie rób ze mnie balona. Było chyba jasne, że mam iść sam.

- Może było jasne dla ciebie, kochanie. Ale ja nie jestem typem kobiety, która zostaje w domu i robi na drutach skarpety, kiedy jej facet idzie na wojnę. Zresztą to nawet nie jest twoja wojna. To problem mojego brata i mój.

Pax postanowił uzbroić się w cierpliwość i spróbować jeszcze raz.

- Więzy krwi nie mają tu nic do rzeczy. Kansas, wysłuchaj mnie. To nie będzie łatwa wyprawa. Znam te góry. Moim dżipem nie zajedziemy daleko. W wyższych partiach nawet konie stają się bezużyteczne. Mówimy

więc o pieszej wyprawie w bardzo trudnych warunkach. O nocowaniu na skałach. To będzie dla ciebie koszmar!

- Na to wygląda. Ale nie musisz wrzeszczeć. Słyszę cię całkiem wyraźnie.

- Nie słuchasz mnie.

- Słucham.

- Robiłem to wiele razy. Nie ma powodu, żebyś się narażała.

- Mylisz się. Jeżeli znajdziemy siedzibę sekty, a mój brat tam będzie, możliwe, że nie będzie chciał wracać. Nie wiem, jaki wpływ ma na Case'a ta grupa i co zrobiły z nim narkotyki. W każdym razie ty jesteś dla niego obcym człowiekiem, nie przekonasz go. Jeżeli w ogóle będzie chciał z kimś rozmawiać, to tylko ze mną.

Pax po raz trzeci przemierzył pokój tam i z powrotem. Nie wiedzieć czemu wyobraził sobie nagle, że Kansas jest jego żoną i za każdym razem, kiedy chce postawić na swoim, używa tego miękkiego, aksamitnego głosu. Absurdalna, typowo kobieca taktyka. I jakże skutecznie wyprowadzająca człowieka z równowagi.

- Przyznaję, że to może stanowić pewien problem, ale znajdę sposób na Case'a. Możemy się nad tym zastanowić, ale to nie zmieni faktu, że nie jesteś wystarczająco odporna, żeby znieść długą i wyczerpującą wędrówkę przez pustynię. A ja nie mam zamiaru narażać cię na niebezpieczeństwo.

- Uważasz, że nie jestem w stanie dotrzymać ci tempa - stwierdziła rzeczowym tonem. - I na pewno masz rację.

Rozumiem, że byłabym dla ciebie kulą u nogi, ale nie musimy iść razem, krok w krok. Będę szła twoim śladem.

- Nie. Skończmy tę dyskusję, bo zaczynasz mówić od rzeczy. Zostajesz i kropka.

- Nie - powiedziała miękko. - Idę z tobą. - Wstała z kanapy i podeszła do niego wolnym, spacerowym krokiem. Bez uśmiechu na ustach, ale w jej spojrzeniu było coś zniewalająco... ciepłego. - Wiesz co?

- Co?

- Po raz pierwszy jesteś na mnie naprawdę wściekły. I bardzo dobrze. Zaczęłam się zastanawiać, czy kiedykolwiek nabierzesz do mnie dość zaufania, żeby zrezygnować z dobrych manier i zdradzić, co naprawdę czujesz. Nie musisz się bez przerwy kontrolować. W każdym razie nie przy mnie.

- Kansas, ja naprawdę nie znoszę takiego psychologicznego bajdurzenia. Nie mam pojęcia, o czym mówisz, więc jeżeli tylko próbujesz mnie zagadać...

- Oczywiście, że tak. Ale próbuję też powiedzieć, że jestem z ciebie dumna.

Była dumna z niego dlatego, że stracił nad sobą panowanie i zaczął na nią wrzeszczeć? Pax pomyślał, że z równym skutkiem mógłby się starać zrozumieć bańkę mydlaną.

Oślupiał z wrażenia, kiedy Kansas uniosła rękę, sięgnęła za jego głowę i zsunęła mu z włosów skórzany rzemyk.

- Co robisz?

- Próbuję wyrazić, co czuję. Do ciebie. - Odrzuciła za siebie rzemyk. Wspięła się na palce i zanurzyła dłonie we włosach Paxa. - Przeszkadzałyby ci, gdyby nie były związane, prawda? Ale zastanawiałam się, jakie są W dotyku. Bardzo grube. I szorstkie... I takie czarne jak atrament.

- Dobrze wiem, o co ci chodzi. Chcesz mnie po prostu wyprowadzić z równowagi. Myślisz, że jeśli będziesz się zachowywała w ten sposób, zapomnę o twoim bracie...

- Rozmowę o moim bracie zakończyliśmy pięć minut temu. Teraz chodzi o nas. O to, co do siebie czujemy. Chyba nie będziemy z tym dłużej czekać. Możesz mnie oczywiście powstrzymać...

Przyciągnęła go za szyję i pocałowała. Jej wargi miały smak lukrowanych pączków. Kusila go wilgotnym, ciepłym językiem, nie dając czasu na wahanie i nagle poczuł, że brak mu tchu.

Była jak te kolibry, które za nic sobie mają wszelkie zasady. Wiedziała, że swoim uporem doprowadza go do furii. Poza tym było wczesne, słoneczne przedpołudnie. Stali na środku pokoju, w którego oknach nie było nawet zasłon. Miejsce i pora wydawały się tak mało nastrojowe, że tylko Kansas mogła wybrać taki moment.

Tym trudniej było mu zrozumieć, czemu tak oszołomił go jej zapach, dlaczego zaszumiało mu w uszach, jak gdyby jakaś siła uniosła go wysoko w powietrze. Czemu tak zachłannie, z taką rozkoszą ją całował.

Wyciągnęła ze spodni jego koszulę. Delikatne, drobne dłonie błędziły nerwowo po jego plecach, gładziły boki, prześlizgiwały się po paciorkach kręgosłupa. Nigdy nie widział jej tak zdenerwowanej. Przerwała nagle pocałunek, ale przytuliła się do niego jeszcze mocniej i szepnęła:

- Czy musimy całować się na stojąco, wielkoludzie? Zdrętwiały mi nogi...

Sugestia była całkiem wyraźna.

- Nie - powiedział stanowczo.

- Jeżeli obawiasz się o konsekwencje, to wiedz, że pomyślałam o tym. Zaopatrzyłam się w drogerii kilka dni temu. Kiedy zrozumiałam, że wcześniej czy później...

- Nie.

- Możesz mnie, oczywiście, powstrzymać - powtórzyła. - Nigdy dotąd nikogo nie uwodziłam. Nawet nie miałam na to ochoty. Pewnie zabieram się do tego jak oferma. Ale wiesz, że jestem tchórzem i wszystkiego się boję. Z natury nie jestem ryzykantką, więc jeśli chcesz mnie przywołać do porządku, nie ma sprawy. Po prostu powiedz, że mnie nie chcesz.

Może gdyby serce biło mu trochę spokojniej i gdyby nie był tak podniecony, zdobyłby się na to kłamstwo. Może okazałoby się to najlepszym wyjściem dla nich obojga. Nie mógł jednak, patrząc w jej ufne, błękitne oczy, wyprzeć się swoich uczuć.

Przytulił ją i zatracił się bez reszty w namiętym pocałunku, bo żadne słowa nie wyraziłyby lepiej tego, jak bardzo jej pragnął. Kansas nie potrzebowała większej zachęty. Oplotła nogi wokół jego pasa i pozwoliła zanieść się do sypialni.

Przez pozbawione zasłon okna słońce padało prosto na łóżko. Czekoladowobrazowe prześcieradła pachniały perfumami Kansas. Nie otwierając oczu, Pax drżącymi palcami rozpiął pasek od jej spodni. Pierwszy znalazł się na podłodze jej zielony T-shirt, potem białe szorty i bielizna. Pozbycie się własnego ubrania zajęło mu pół minuty, a następną minutę wydobył z półprzytomnej, mrużącej coś niewyraźnie Kansas, informacji o tym, gdzie schowała prezerwatywy.

Potem już nic oprócz niej nie istniało; cały świat odpłynął w niebyt. Pax wiedział od chwili, w której ją poznał, że jest wyjątkowa. Krucha i

wrażliwa. Błądził palcami po jej delikatnej, jaśniejszej niż kość słoniowa skórze. Odkrył piegi. Odkrył wyblakłe żyłki blizn, które były pamiątką po wypadku samochodowym i znamionami bólu, jakiego doznała. Odkrył drobne, wrażliwe piersi z różowymi, twardymi koniuszkami, które lśniły wilgocią na skutek pieszczoty jego języka.

Chciał wyrazić swój zachwyt nad jej ciałem. Chciał pieścić je najczulej, bez pośpiechu, z nieskończoną cierpliwością. Panowanie nad sobą nigdy nie sprawiało mu trudności. Miał szczery zamiar powściągnąć własne pragnienia, ale Kansas...

Przeczesała palcami jego włosy i między pocałunkami, między namiętymi, najśmielszymi pieszczotami, szeptała do niego. Niskim, ochrypłym głosem błagała go, pojękiwała żałośnie, wabiła niczym syrena. Nie chciała czekać. Była spragniona jego pieszczot jak pustynia wody. Dotykała go tak zachłannie i z taką rozkoszą, jak gdyby był jedynym mężczyzną we wszechświecie.

Nie mógł złapać tchu. Przestał być panem swojej woli. Nie pamiętał ani jednej chwili swojego życia z czasów, kiedy Kansas nie była dla niego całym światem. To graniczyło z szaleństwem. Uświadamiał sobie te prawdę, ale bardzo niejasno, na innym poziomie świadomości, który niewiele miał wspólnego z tym, co działo się tu i teraz. Dał się ponieść nieznanym, nie mającym nazwy uczuciom, jakich nigdy dotąd nie doświadczył. Wiedział tylko, że pragnie leżącej przy nim kobiety.

Nogami oplotła jego biodra i przyjęła go z radosnym, nietłumionym westchnieniem ulgi. Ich ciała stały się jednym bytem. Nie po raz pierwszy kochał się z kobietą, ale po raz kolejny pomyślał, że z Kansas wszystko jest inne i niepowtarzalne.

Była odważna i niepoohamowana, rozpaczliwie szczerza w swoim pożądanu, wolna jak ptak. Nigdy nie rozumiał i nie doznał takiego uczucia swobody. Ogarnął go przejmujący lęk, że Kansas nagle zniknie. Straci ją, jeśli nie będzie dość ostrożny, a razem z nią coś najlepszego, co przydarzyło mu się w życiu, i to bezpowrotnie. Serce biło mu jak oszalałe, coraz mocniej... i nagle ten głupi, irracjonalny strach gdzieś uleciał.

Wykrzyknęła jeszcze raz jego imię, a ciało Paxa przeszył dreszcz spełnienia. Nie zniknęła, była z nim, rozpalona, oddana mu bez reszty, nie ukrywająca swoich pragnień. Stracił dla niej głowę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kansas otworzyła oczy i błędnym wzrokiem ogarnęła panujący w sypialni rozgardiasz. Rozrzucone po podłodze ubrania, prześcieradła i poduszki. Jej nagie ciało splecione w miłosnym uścisku z nagim ciałem Paxa.

Na wpół przytomnie szukała w sobie poczucia winy albo wstydu, i nie doszukała się ani jednego, ani drugiego. Nawet śladu wyrzutów sumienia.

Kiedy odwróciła głowę i spojrzała na drzemiącego Paxa, wzruszenie ścisnęło jej serce. Z potarganymi włosami, bladą z wycieńczenia twarzą i podkrążonymi oczami, wyglądał jak ofiara katastrofy kolejowej.

Wiedziała, co go tak wyczerpało.

Nie seks. Oni nie „uprawiali seksu”. Kochali się. Już dawno zdała sobie sprawę, że jest w nim zakochana. Ale on, jej dzielny i silny mężczyzna, który nigdy nie tracił nad sobą kontroli, był jak wypuszczony

na wolność dziki ogier. Wreszcie przestał bronić się przed nią i przed samym sobą. Miotany gwałtownymi uczuciami, kochał ją jak straceniec, jak gdyby zaznał tej wolności po raz pierwszy. Obnażył przed nią skrywane pragnienia. I był równie bezradny jak ona.

Kansas zdawała sobie sprawę, jak bardzo są do siebie niepodobni. Wiedziała, że gdy odnajdą jej brata, nie będzie miała żadnego pretekstu, by zostać w Arizonie. Znała wszystkie powody, dla których nie powinna była się kochać z Paksem, a jednak niczego nie żałowała. Ten mężczyzna był samotny jak palec, kiedy go poznała. Nie potrafiłaby odejść, nie przyznając się, co do niego czuje, nie ofiarowując mu miłości, której tak rozpaczliwie pragnął.

Uchylił powieki. Wykorzystując te kilka sekund, podczas których był jeszcze półprzytomny i zaspany, ułożyła się na nim i musnęła jego wargi ciepłym, delikatnym pocałunkiem. Tak zwyczajnie, tak naturalnie poddał się jej pieściocie, że miała ochotę całować go bez końca.

Ale nagle poczuła, jak sztywnieją mu mięśnie. Zmarszczył czoło i spojrzał na nią zamglonym, niedowierzającym wzrokiem, jak gdyby była zjawą z jego snu.

Właśnie takiej reakcji się spodziewała. Jedno miłosne zbliżenie nie mogło zmienić mężczyzny, który przez całe życie starannie kontrolował swoje emocje. Pax mógł sobie nigdy nie wybaczyć, że uległ czemuś tak trywialnie ludzkiemu, jak pragnienie kobiety. Jeżeli więc go naprawdę kochała, jedyne, co mogła zrobić, to uwolnić go od poczucia winy.

- Hej - mruknęła - co masz taką niewyraźną minę? Otworzył jeszcze szerzej oczy, a potem roześmiał się.

- Nie wiem. Śniło mi się, czy naprawdę przeżyliśmy trzęsienie ziemi?

- Ja na pewno. Ty też wyglądasz na poturbowanego. - Uniosła głowę i wsparła się na łokciu. - Muszę cię o coś zapytać, ale patrz mi prosto w oczy. Nie razi cię moja chudość?

- Chudość? Uważam, że nie ma nic bardziej podniecającego od szczupłego ciała kobiety.

- Dobra odpowiedź, wielkoludzie. A blizny?

- Uwielbiam twoje blizny.

- Następna dobra odpowiedź. Hm... Z trzecim pytaniem chyba nie pójdzie ci tak łatwo...

- Rudzielcu? - Pocałował ją w czubek nosa.

- Słucham.

- Masz piękne ciało, podoba mi się w nim wszystko. Jeżeli przestaniesz patrzeć mi w oczy i zerkniesz trochę niżej, to odkryjesz, że te pytania nie mają sensu. Może zaczniemy rozmawiać o czymś poważniejszym?

- O tym, jak bardzo ty mi się podobasz?

- Kansas... - Położył rękę na jej policzku. - Naprawdę nie chciałem być brutalny - powiedział szorstkim głosem.

- Nie martw się. Byłeś cudowny.

- Zachowałem się jak narwany szczeniak. Z taką subtelnością, ważąc czterdzieści kilo więcej od ciebie, mogłem zrobić ci krzywdę.

- Masz prawo do własnego zdania.... - odrzekła. - Ale ja też brałam w tym udział. Dość aktywny, o ile dobrze pamiętam. I zdaje się, że oboje nie mieliśmy chęci na subtelne pieszczoty.

W jego oczach pojawiły się iskierki.

- Obyś nigdy nie starała się być bardziej subtelna, Rudzielcu. Mam nadzieję, że zawsze będziesz robiła ze mną to, co zechcesz. Ale ja powinienem nad sobą panować.

- Oczywiście. Jak mógłbyś sobie pozwolić na ludzkie odruchy? Jak mógłbyś przyznać, że masz takie same potrzeby jak każdy zwykły śmiertelnik? Myślę, że powinniśmy przerwać to dochodzenie i powiesić cię bez sądu.

Wymusiła na nim jeszcze jeden bardzo krótki uśmiech.

- To nie powinno się zdarzyć - odezwał się po chwili, śmiertelnie poważnym tonem. - Byłaś w ciągłym stresie z powodu swojego brata. Więc może potrzebowałaś kogoś, ja byłem pod ręką... i stało się. Od początku jednak wiedziałem, że przyjechałaś tu na krótko. Cholernie krótko... Zdaje się, że nie należysz do kobiet, które łatwo się decydują na to, by pójść z kimś do łóżka. Dlatego wikłanie cię w skomplikowane układy uczuciowe, kiedy masz poważniejsze kłopoty, jest nie w porządku.

- Masz rację - powiedziała ze ściśniętym gardłem. - Niełatwo zwabić mnie do łóżka. Bo, szczerze mówiąc, muszę być beznadziejnie zakochana, żeby uwierzyć, że to moje chude ciało z bliznami może się komuś podobać. A to byłby koszmar, prawda, doktorze? Gdybym się w tobie zakochała?

Zauważyła, jak tężeją mu rysy twarzy. Nie, oczywiście że nie chciał usłyszeć, że się w nim zakochała. Mogłaby przysiąc, że ani przez chwilę nie miała co do tego żadnych złudzeń. Mogłaby przysiąc, że świadomie zdecydowała się na ryzyko i radość kochania go, nie licząc na wzajemność. Mogłaby... Gdyby nie potworny, przeszywający ból w sercu, który tym wszystkim kłamstwom przeczył.

- Hej, nie martw się - uśmiechnęła się pogodnie. - Nie grożą ci z mojej strony żadne uczuciowe komplikacje. Ale powiem ci, dlaczego chciałam się z tobą kochać i dlaczego nie uważam tego za błąd. Kiedy opowiedziałeś mi o swoim ojcu...

- Moim ojcu? Co on, do diabła, ma z tym wspólnego?

- Nic. Nie bezpośrednio. Ale kiedy mi o nim opowiedziałeś, po raz pierwszy w życiu miałam wrażenie, że jest ktoś na tym świecie, kto rozumie, przez co ja kiedyś przeszłam. Kiedy twój ojciec zostawił cię na pastwę losu, nie czułeś się zraniony i upokorzony? Czy z gniewu nie miałeś ochoty tłuc głową o ścianę?

- Nie rozumiem, do czego zmierzasz - powiedział oschłym tonem.

- Ze mną działo się dokładnie tak samo. Po wypadku było we mnie tyle złości, że czasami bałam się sama siebie. Nienawidziłam swojej bezradności. Wciąż zadawałam sobie pytanie, dlaczego właśnie ja, czym sobie zasłużyłam na taki los. Przeklinałam swoje życie za to, że nie mam na nie żadnego wpływu. Przeżywałeś to samo, prawda?

- Kansas...

Położyła mu palec na ustach. Nie chciała, żeby jej przerywał. Jeszcze nie teraz.

- Potem zdecydowałam, że będę samotną wyspą. Chciałam być silna i niewrażliwa na ciosy. Skoro nie mogłam panować nad swoim losem, postanowiłam panować nad sobą. Opancerzyłam swoje serce i wszystkie uczucia. Ale pojawił się problem, panie doktorze. Odkryłam, że jeśli człowiek tak się zamyka, jeżeli nigdy nie ryzykuje i nikomu nie ufa, wówczas nie daje innym szansy na zbliżenie się do siebie, odgradza się murem od najbliższych.

- Czy to jest... subtelna próba udzielenia mi lekcji?

- Nie, oczywiście, że nie. Nie mówię o tobie, wielkoludzie.

Opowiadam o sobie. Próbuję ci wytłumaczyć, dlaczego chciałam się z tobą kochać. Niełatwo jest spotkać kogoś, komu się naprawdę ufa, z kim można czuć się bezpiecznie. Ale tu nie chodzi o żadne wiązanie się, bo to jest sprawa porozumienia. Mówiłam ci, że nie grożą ci żadne komplikacje z mojego powodu. Dostałam od życia taką samą nauczkę jak ty. Nikt nie może cię kochać na siłę. Chyba że sam otworzysz drzwi i pozwolisz się kochać.

Przyglądała mu się przez chwilę. Wpatrywał się w nią nieruchomym wzrokiem, marszcząc z wysiłku czoło. Ale kiedy zaczął mówić, odsunęła się od niego i wstała z łóżka.

- Kansas... Hej, dokąd idziesz?

- Nie możemy przez cały dzień rozmawiać o miłości - powiedziała lekko, choć serce miała ściśnięte z bólu. Powiedziała mu prawdę. Pax był wolny, chciała, żeby uwierzył, iż nie ma wobec niej żadnych zobowiązań.

- Nie wiem, czemu się tak zerwałaś. Jeszcze nie skończyliśmy rozmowy.

Zatrzymała się w progu i uśmiechnęła promiennie.

- Ależ tak! Zawdzięczam panu cudowny, niezapomniany ranek, ale czas nagli, doktorze Moore. Idę pod prysznic, a potem przygotowuję jakiś lunch i będę się pakować.

- Pakować?

- Chyba nie zapomniałeś? Idziemy szukać Case'a. Zaufaj mi, dam sobie radę. Nie sprawię ci żadnego kłopotu.

Nie była w stanie dotrzymać mu kroku, nawet gdyby od tego zależało jej życie. Kiedy Pax tracił ją z oczu, zatrzymywał się, zrzucał z ramion plecak i czekał na nią.

Spojrzał w dół na wąską, krętą ścieżkę. Tym razem musiała zostać daleko w tyle. Pomyślał z niepokojem, że jeśli nie pokaże się za minutę, będzie musiał po nią zejść. Tylko raz zostawił ją samą na dłużej. Odpoczywała w ocienionym miejscu, kiedy on poszedł zbadać teren wokół Doliny Złota. Zbliżył się na półtora kilometra do polany, na której, według jego przypuszczeń, młodzi ludzie mogli rozbić obóz, i wybrał miejsce na nocleg. Ale zostawienie Kansas samej było błędem. Kiedy wrócił, miała atak hysterii z powodu dwumetrowej szarawoniebieskawej żmii, którą - jak zeznała - wypatrzyła gdzieś w krzakach.

Pax nie znał żadnych „szarawoniebieskich” żmij żyjących w tej strefie lasów, a o dwumetrowych nie słyszał nigdy w życiu. Na wszelki wypadek postanowił jednak więcej nie ryzykować.

Już miał zamiar schodzić po Kansas, kiedy wyłoniła się zza skały, ledwie powłócząc nogami.

- Idę. Idę. Podobno ludzie robią to dla sportu? Łażą po tych wertepach dla zabawy, tak?

- Nie gadaj, tylko zdejmij plecak i usiądź tu na chwilę.

- Kiedy ostatnim razem usiadłam na takim kamieniu, wypełzła spod niego tarantula. Dziękuję, postoję. Usiądę dopiero w domu.

- Jeszcze tylko godzina drogi do miejsca, w którym zatrzymamy się na noc - rzekł i wyjął z kieszeni tubkę maści cynkowej.

- Mam już chyba na twarzy kilogram tego świństwa.

- I cały kilogram już starłaś. Jeszcze raz. Siedź spokojnie. Wyciągnij szyję.

Nawet późnym popołudniem jej jasna skóra nie tolerowała słońca. Nałożył jej maść tylko na czubek nosa i policzki, ale nawet tak niewinny kontakt fizyczny sprawiał, że jego serce tłukło się w piersi jak szalone.

- Ty chyba lubisz robić ze mnie potwora. - Zrobiła minę czarownicy, żeby go rozśmieszyć. - I co, mogłabym straszyć dzieci?

Przestraszyła go, ale nie białą maścią na policzkach. Z bliska widział tylko jej oczy. Łagodne i niebieskie, które patrzyły na niego z pożądaniem i... z miłością.

Teraz wiedział na pewno, że kłamała. Próbowwała obrócić w żart rozmowę o uczuciach, ale on musiałby być ślepcem, żeby nie zauważyć tego, co miała wypisane na twarzy. Kochała go. Była pierwszą kobietą, która naprawdę go kochała. Wyzwolila w nim uczucia, o jakich istnieniu nie miał pojęcia. Dokonała cudu siłą swojej namiętności. I swoją szczerością. Ta drobna, słaba kobieta zdobyła jego serce.

- Dobrze, że nie mieszkasz na stałe na pustyni - powiedział.

- Nienawidzę pustyni.

Nienawidziła miejsca, które dla niego było całym światem. Choćby dlatego nie mieli szansy na wspólną przyszłość. Ucieczka ojca nauczyła go, że nie można zmusić drugiego człowieka do bycia szczęśliwym. Nikomu nie można kazać polubić albo pokochać rzeczy, które samemu się uwielbia.

Od kilku dni, niemal bez przerwy, prześladowały go jej słowa. Nikt nie może cię kochać na siłę. Chyba że sam pozwolisz się kochać. Dla Kansas miłość była sprawą wyboru.

On też miał jakiś wybór. Musiał wybrać tak, żeby jej nie zranić. I żeby nie dać się ponieść czemuś tak niepewnemu jak miłość czy mrzonki o wspólnej przyszłości.

- Musisz się napić. - Podał jej odkręconą manierkę.

- Nie chce mi się pić.

- Wypacasz tony wody w czasie takiej wędrówki. Mówiłem ci, czym grozi odwodnienie na pustyni. No, wypij kilka łyków!

- Tylko dlatego cię posłucham - napiła się szybko i oddała mu manierkę - że mam wyrzuty sumienia. - Kiwnęła głową, wskazując na stojące obok siebie plecaki. Jego ważył dobre trzydzieści kilogramów, ona niosła w swoim tylko śpiwór i osobiste drobiazgi. - To nie fair - powtórzyła po raz dziesiąty.

- Powiedz lepiej, jak tam twoja noga.

- W porządku.

- Jak tylko zaczniesz ci dokuczać, zatrzymujemy się.

- Hej, przestań traktować mnie jak dziecko. Uprzedzałeś przecież, że to będzie koszmar. Tak czy nie? - Mrucząc pod nosem, zarzuciła na ramiona plecak. - Ruszajmy! Chciałabym mieć to jak najszybciej za sobą.

Największym koszmarem nie była dla niej wędrówka, tylko myślenie o bracie. Pax podejrzewał, że nawet z połamanymi nogami szłaby dalej, gdyby nie to wieczne zamartwianie się. Kiedy Kansas kochała, to kochała naprawdę, nie oglądając się na konsekwencje, lekceważąc własne bezpieczeństwo.

Mieli przed sobą dziesięć minut drogi, kiedy zaczęła kuleć, ale po krótkim odpoczynku udało im się dojść do celu. Kolacja była skromna: sucharki, suszone mięso, owoce. Miejsce, które Pax wybrał na nocleg, okazało się naturalną półką skalną, wystarczająco szeroką, żeby rozłożyć na niej dwa śpiwory.

Pax wyjaśnił już Kansas, czym się kierował, ustalając marszrutę. Grupa, która postanowiła założyć obóz w Dolinie Złota, musiała wziąć ze sobą spore zapasy żywności i wody, dlatego wybrała prawdopodobnie północny trawers, łatwiejszy, z łagodnym podejściem dostępnym dla koni.

On zdecydował się na trudniejszą trasę, dzięki której mogli skrócić wyprawę o cały dzień. Bez względu na to, w jakiej kondycji był Case, chcieli do niego dotrzeć i zabrać go stamtąd jak najszybciej. Pax planował wyruszyć jeszcze w nocy. Tak naprawdę ani on, ani Kansas nie mieli pojęcia, jaką zastaną sytuację. Jeżeli ci młodzi ludzie są pod wpływem halucynogenów i narkotyków, najsensowniej byłoby dotrzeć do obozu o świcie, kiedy wszyscy śpią.

Kansas nie wtrącała się do planów Paxa. Ufała jego doświadczeniu oraz inteligencji i wierzyła, że ich wyprawa zakończy się sukcesem.

Według Paxa nie trzeba było do tego cudu ani szczególnej błyskotliwości. Wystarczyło mu, że w Nogales Miguel zdradził kilka szczegółów dotyczących obozowiska w Dolinie Złota, i natychmiast odgadł, dokąd powinni iść. Jako młody człowiek przewędrował całe te góry. Nie znał nazwy tego miejsca, ale przypomniał sobie, jak pewnego dnia jego oczom ukazała się „złota dolina” - płaskowyż skąpany w złotym, magicznym świetle porannego słońca. Spokój i piękno tego zakątka wryły mu się głęboko w pamięć. Domyślił się już wtedy, że dla dawnych Indian był on miejscem świętym, a w tamtych czasach Pax żywił bardzo przyjazne uczucia do ludzi, którzy poszukiwali prywatnego rajku, żeby oddawać się medytacjom.

Kiedy opuścił go ojciec, długo nie mógł sobie poradzić z własnymi emocjami. Czuł się winny. Zastanawiał się, jakie popełnił błędy, co mógł zrobić, a czego nie powinien, żeby dotrzeć do serca ojca, który po śmierci matki popadł w melancholię i przygnębienie.

Właściwie nie zdawał sobie sprawy, że myśli na głos, dopóki Kansas nie zaskoczyła go pytaniem.

- Nie wiesz nawet, czy on jeszcze żyje, czy umarł?

- Nie.

Skończyli jeść, posprząтали i rozłożyli śpiwory, jeden przy drugim. Słońce już prawie zaszło, z minuty na minutę robiło się coraz zimniej. Pax zarzucił na plecy Kansas ciepłą bluzę.

- Przez kilka lat, zanim tata odszedł, dużo pił, nie mógł zagrać miejsca w żadnej pracy. Ale to nie był ojciec, którego pamiętam z wczesnego dzieciństwa. Po śmierci mojej mamy kompletnie się zmienił. Przestał być po prostu tym samym człowiekiem. Jakby życie straciło dla niego sens.

- Do diabła z takimi tatusiami - powiedziała z gniewem Kansas. - Przecież miał ciebie. Był odpowiedzialny za syna. On stracił żonę, a ty matkę. Nie tylko on cierpiał, a miał jeszcze przecież kogo kochać i dla kogo żyć. Cholera, trzeba być niezłym łajdakiem, skończonym egoistą, żeby tak zostawić własne dziecko!

W pierwszym odruchu Pax chciał bronić ojca, ale poczuł nagle, że zaschło mu w gardle. Wiedział, jak bezgranicznie lojalna potrafi być Kansas, lecz sądził, że to uczucie zarezerwowane jest tylko dla jej brata.

- Nieźle sobie radziłem.

- Nie o to chodzi! Miałeś siedemnaście lat i byłeś jeszcze uczniem?

- Tak. Ale skończyłem szkołę bez problemów. Nikt się nie dowiedział, że mieszkam sam.

- Naprawdę nikomu nie powiedziałeś? - spytała z niedowierzaniem w oczach.

- Na początku myślałem, że on wróci. Ale nie wracał... A ja po prostu się bałem, że jeśli komuś powiem, wyląduję u jakichś obcych ludzi, którzy będą decydować o moim życiu. Umiałem gotować. Znalazłem pracę

u miejscowego weterynarza. Chodziłem do niego po lekcjach i w weekendy. Wystarczało mi pieniędzy na opłacanie rachunków.

- To dlatego zostałeś weterynarzem?

- Tak. Stary Henry Willis, okropny ponurak, nie znosił ludzi, ale miał dużo serca dla zwierząt. Podziwiałem go. Namówił mnie do podjęcia studiów w szkole weterynaryjnej. Miałem wystarczająco dobre stopnie, żeby się dostać na te studia, i nawet przyznali mi niewielkie stypendium. Przez cały czas pracowałem, mogłem się utrzymać, a mimo to co roku dostawałem czek na kilka tysięcy. Wiem na pewno, że to Henry był taki hojny, chociaż nigdy się do tego nie przyznał.

- Mówisz o nim w czasie przeszłym. Umarł?

- Tak. Chodziłem jeszcze wtedy do szkoły. Nikt mi nie powiedział. Któregoś dnia wróciłem z college'u... - Pax zdał sobie sprawę, że od kilkunastu minut mówi o sobie. Nigdy nikomu nie opowiadał o tamtych czasach. Kansas była pierwszą osobą, która potrafiła skłonić go do osobistych zwierzeń. Licho wie, pomyślał, jak ona to robi. - Lepiej przygotujmy sobie spanie, zanim zrobi się zupełnie ciemno.

- Racja. - Kansas rozejrzała się, jakby dopiero teraz zauważyła, gdzie się znajdują.

Na niebie pojawił się blady księżyc. Dla Paxa to rześkie powietrze, spokój, srebrnoniebieska poświata nad szczytami gór były czymś najcudowniejszym na świecie. Raptem zaświtała mu w głowie myśl, że może Kansas widzi to samo piękno.

- Wyobrażałam sobie, że każda pustynia wygląda jak Sahara - powiedziała cicho. - Wszędzie piach, pusty, martwy krajobraz, ani plamki zieleni. Do głowy by mi nie przyszło, że tu rosną drzewa i tyle rozmaitych roślin.

To była pierwsza pochlebna opinia, którą wypowiedziała o jego ukochanej okolicy. Wstrzymał oddech... ale tak jak się mógł spodziewać, więcej wyrazów uznania się nie doczekał.

- Pewnie jest tu też zatrzesienie robali - powiedziała smętnie, wyciągając z plecaka krem, szczoteczkę do zębów, manierkę i grzebień. - Idę znaleźć jakieś miejsce na wieczorną toaletę.

- Nie odchodź za daleko.

- Gdyby nie moja wrodzona skromność, w ogóle bym nie odchodziła. Uprzedzam cię, że jeżeli zobaczę jakąś żmiję...

- Spokojna głowa, słyszałem już twój wrzask. Zlokalizuję cię bez problemu.

- To dobrze. Czyli jesteś na wszystko przygotowany. Nie, myślał, odprowadzając ją wzrokiem. Od dnia, w którym ją poznał, nigdy nie czuł się na wszystko przygotowany.

Ale teraz ona myślała wyłącznie o swoim bracie. Przecież tylko dlatego tu przyjechała. Jutro już może być po wszystkim i Kansas ochoczo wróci do swojego świata. Do tego czasu Pax potrafi zapewnić jej bezpieczeństwo. Ochronić przed żmijami i innymi wyimaginowanymi potworami.

I przed nim samym.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Czy węże śpią?

- Przysięgłbym, że rozmawialiśmy o tym już kilka razy. Nie ma powodu do obaw. Noce na pustyni są zawsze chłodne, tak jak ta. Gdy tylko spada temperatura, wąż chowa się i zwija w kłębek. Swoją drogą, nie ma w tym żadnego interesu, żeby cię niepokoić.

- Hm.

Miał rację, noc była chłodna. Kansas zasunęła śpiwór pod samą brodę. Granatowe niebo było usiane gwiazdami, powietrze tak przejrzyste, że widziała dokładnie tarczę księżyca... ale to twarz Paxa przyciągała jej uwagę. Leżał na plecach, tuż obok niej, z zamkniętymi oczami.

- Jakie gatunki węży żyją na pustyni?

- Kansas... ciebie nie interesują węże.

- Właśnie że tak.

- Żyją tu dwa gatunki pustynnych grzechotników. Fascynujące gady...

- Wierzę ci na słowo. Jak długo umiera się w męczarniach, gdy taki fascynujący gad cię ukąsi?

- Gdybyś została ukąszona... - rzekł i westchnął ciężko - co na pewno się nie zdarzy, podałbym ci specjalną odtrutkę. Mam ją zawsze przy sobie, w zestawie do pierwszej pomocy, więc nie umrzesz. Nie ma obaw. Ani w męczarniach, ani w inny sposób. Obiecuję. I dobrze by było, gdybyś choć na chwilę zapomniała o węzach.

- Zgoda. Możemy porozmawiać o stonogach, skorpionach, pająkach ...

- Masz zamiar nie spać całą noc?

- Na to wygląda. Pax...

- Co?

- Jestem nieprzytomna ze strachu. Jak tylko zamykam oczy, widzę pełznącego do mnie węża albo tarantulę, która wchodzi mi na twarz.

Wiesz, jaki mam pomysł?

- To nie jest dobry pomysł.

Odwróciła się na bok i wsparła na łokciu. Rozumieli się bez słów. Czytał w jej myślach. Na początku rozmowy prawie zasypiał, tak jej się zdawało, ale teraz podejrzenie szybko otworzył oczy.

- Myślę, że to wspaniały pomysł. Moglibyśmy spać razem oba śpiwory. Broniłbyś mnie przed wszystkimi jadowitymi stworzeniami....
Och, wiem, o czym myślisz! Musiałeś jednak zauważyć, że od kilku dni zachowuję się nienagannie. Ani razu cię nie zaczepiłam, nie miałeś ze mną żadnych problemów. Doszłam do wniosku, że miałeś rację.

- W jakiej sprawie? - spytał ostrożnie.

- Kiedy już znajdę Case'a, będę musiała wyjechać. Mam swoją pracę, rodzinę, mieszkanie. Nie da się ukryć, że zawróciłeś mi w głowie, strasznie skomplikowałeś życie, ale nie mogę tak po prostu rzucić wszystkiego... Nie pasujemy do siebie, żyjemy w zupełnie inny sposób...

- Kansas, zmiłuj się, czy jest jakiś sposób na to, żebyś przestała w końcu gadać i spróbowała zasnąć?

- Nie. Nie zasnę sama. Jeżeli ci obiecuję, jeżeli przysięgnę na wszystko, że będę panowała nad sobą i trzymała ręce przy sobie, to zgodzisz się połączyć te śpiwory? - Usłyszała tylko ciężkie westchnięcie. - Pax, mnie naprawdę chodzi o tarantule. Nie o seks. Będą mnie dręczyć

koszmary. Jestem małą, tchórzliwą, słabą kobietą, która, żeby zasnąć w takich warunkach, potrzebuje obok siebie silnego mężczyzny...

- Kochanie, mogłaś mi opowiadać takie głodne kawałki pierwszego dnia, kiedy się poznaliśmy. Jesteś równie słaba jak lwica i nie przeszłoby ci przez gardło „na pomoc”, nawet gdybyś zapadła się po szyję w ruchomych piaskach.

- Coś takiego! - mruknęła. - Zrobiliśmy postępy. Nie wiedziałam, że tak dobrze mnie poznałeś. Śmiem jednak twierdzić, że każdy czasem potrzebuje wsparcia i pomocy.

Najpierw panowało długie milczenie, a potem Kansas usłyszała niewyraźne „a niech cię”. I powolne rozsuwanie suwaka. Pax przyciągnął ją do siebie i w dwie minuty spiął razem dwa śpiwory.

- Jesteś zadowolona?

- Tak, bardzo.

- Nie zapominaj o swojej obietnicy. Nie wejdzie tu żadna tarantula. Zamknij oczy i postaraj się wreszcie zasnąć.

- Dobrze, Pax.

Leżała spokojnie co najmniej trzy minuty, być może nawet pięć. Pax odwrócił się na bok. Gdyby był zmuszony przestać oddychać, żeby jej przypadkiem nie dotknąć, zgodziłby się na takie poświęcenie.

Nagle Kansas westchnęła, cicho i niewinnie, jakby przez sen... i przysunęła się do niego jednym kocim ślizgiem. Jeszcze jedno słodkie westchnienie i Pax poczuł na plecach jej ciepły policzek. Potem niewinnym ruchem, szukając zapewne najwygodniejszej pozycji, wsunęła kolano między jego nogi, ręką objęła plecy... przy okazji unosząc jego rękę, z którą, oczywiście, nie miał co zrobić.

Przecież nie mógł jej trzymać w nieskończoność w powietrzu. W końcu więc opuścił tę nieszczęsną dłoń, wyczuł pod palcami cienką, śliską tkaninę i na chwilę zawahał się. Potem zsunął rękę niżej, żeby sprawdzić, czy nie śni.

- Kansas, do wszystkich diabłów, co ty masz na sobie? - zapytał ochryplym szeptem. - Zabrałaś ze sobą jedwabną nocną koszulę? Na pustynię?

- Nie chciało mi się kupować nowych ciuchów na dwudniową wyprawę. Wzięłam to, co miałam pod ręką.

- Kansas?

- Mhm.

- Okłamałaś mnie. To nie ze strachu przed tarantulami wymyśliłaś ten wspólny śpiwór.

- Pewnie, że nie. Guzik mnie obchodzi tarantule i inne potwory. Ty mnie obchodzisz - wyszeptała i uniosła głowę, żeby dotknąć jego warg ustami w gwałtownym, zachłannym pocałunku.

Miał świadomość tego, że postępują niewłaściwie. A Kansas wcale nie miała zamiaru doprowadzać go do tak rozpaczliwego stanu. Mieli za sobą potwornie ciężki dzień; była wycieńczona i nie zabrała ze sobą żadnych środków antykoncepcyjnych, bo do niczego już nie miało między nimi dojść. Pax postawił sprawę jasno: nie chciał jej więcej dotykać. To wciąż bolało ją jak otwarta rana. Kansas nie miała złudzeń; wiedziała, że do miłości trzeba dwojga.

- Powinienem cię udusić - powiedział niskim, gardłowym szeptem i ułożył ją pod sobą.

Całował ją z dzikim zapamiętaniem, a potem z coraz większą czułością, chociaż wiedziała, że wciąż jest na nią zły. Nic go tak nie

wyprowadzało z równowagi jak poczucie własnej bezradności. Kiedy uniósł się raptownie na rękach i zaczerpnął głęboko powietrza, przez chwilę miała wrażenie, że naprawdę chce ją udusić.

Miał rację, nie powinno było do tego dojść. Zabrnęli w ślepią uliczkę. Ale na odwrót było już za późno.

Wszystko przez to, że opowiedział jej o swoim ojcu. Rozumiała jego strach przed utratą niezależności, bo sama cierpiała, kiedy była skazana na pomoc innych ludzi. Wiedziała, że chciał być silny i niezależny, bo ona też ceniła sobie te cechy. Ale dopiero kiedy dowiedziała się, że ojciec porzucił go po śmierci matki, zrozumiała, czego Pax boi się najbardziej. Miał prawo uważać, że ludzie nie powinni się do nikogo zbyt mocno przywiązywać, bo tylko zamykając serce przed innymi, uniknąć można bolesnych rozczarowań;

Źle byłoby go zostawić z tym przekonaniem - być może na resztę życia. Ktoś powinien pokochać Paxa. Prawdziwie, bez reszty, do szaleństwa. Ktoś musi go nauczyć, że pragnienie bliskości drugiego człowieka nie musi boleć. Ktoś musi mu pokazać, że miłość niekoniecznie wiąże się z cierpieniem. Ten dumny i niezależny mężczyzna zasługiwał na ciepło i prawdziwe uczucie. Nie wolno dopuścić, by zasklepił się w swojej samotności.

Miała teraz jedyną szansę. Kiedy jutro odnajdzie brata, zniknie powód, dla którego znalazła się w Arizonie. Musiała wybierać. Wycofać się natychmiast i zostawić go samego. Albo otworzyć przed nim serce. Ten ostatni raz.

Drżeli z pożądania. Podwójny śpiwór stał się nieznośnie ciasny. Kiedy jednym niecierpliwym ruchem Pax pociągnął w dół suwak, rześkie, chłodne powietrze owiało ich rozgrzane ciała, ale i to nie pomogło. Pax był

jak w gorączce. Podciągnął w górę jedwabną koszulkę Kansas. Ona jednym ruchem uwolniła go z szortów. Kiedy dotknęła go, jęknął boleśnie, jakby poraził go prąd.

- Wzięłaś ze sobą...

- Nie. To bezpieczny dzień.

- Nie ma bezpiecznych dni.

- Wiem, co mówię - powiedziała Kansas z naciskiem, ani na chwilę nie zapominając o jego bezgranicznym poczuciu honoru. Nie była nieodpowiedzialna ani lekkomyślna. Jego dziecko byłoby dla niej największym skarbem. - Kocham cię - powiedziała, bo nigdy niczego nie była bardziej pewna.

Zamknął jej usta długim, czułym pocałunkiem. Ale kiedy próbował złapać oddech, powtórzyła to, czego tak bardzo bał się usłyszeć.

- Kocham cię. Będziesz musiał to jakoś znieść, bo przysięgam, że dzisiaj, tej jednej nocy, nie dam ci wyboru: będziesz czuł się kochany.

Obietnica na wyrost, pomyślała, kiedy jeszcze była w stanie zebrać myśli. Potem przestała panować nad czymkolwiek. Pax kochał ją jak szalenciec, nie czekając na przyzwolenie, dając upust swemu pożądaniu, kiedy miał na to ochotę. Tym razem nie zastanawiał się nad tym, czy jest wystarczająco „subtelny”. Był jak dziki mustang, który nigdy nie zaznał niewoli.

I właśnie tego chciała go nauczyć. Ale nie przypuszczała, że on okaże się tak pojętnym uczniem. Myślała, że jest silna.

Była przekonana, że wie o sobie wszystko i zna wszystkie swoje potrzeby. Ale to Pax otworzył przed nią drzwi do prawdziwej wolności.

Leżała potem wyczerpana i szczęśliwa, długo nie mogąc odzyskać tchu.

Pax oddychał jeszcze ciężiej niż ona. Położył się na boku i wpatrywał się w jej twarz. Mimo gęstej, nieprzeniknionej ciemności, czuła na sobie jego mroczne, nieruchome spojrzenie...

- Wszystko dobrze - szepnęła. - Wciąż jesteś wolny. Zawsze byłeś wolny. Nic się nie zmieniło. Zamknij oczy...

O świcie niebo wyglądało jak fantastyczna, pastelowa akwarela. Powietrze miało balsamiczny zapach, cały świat wydawał się pogodny i spokojny - poza obolałym sercem Paxa.

Kansas szła przed nim, szybciej niż zwykle. Zbliżali się do celu; za doliną, pomiędzy dwoma górskimi zboczami był niewielki płaskowyż, na którym grupa młodzieży rozbiła obóz.

Zatrzymała się nagle i ukucnęła, żeby obejrzeć roślinę, którą zauważyła przy ścieżce wijącej się między kaktusami. Pax dogonił ją, zaniepokojony, znając jej instynktowną, nieopanowaną skłonność do dotykania rzeczy, których dotykać nie powinna.

- To jest datura, prawda? - spytała ściszym, łagodnym głosem.

- Tak. Ale jest pewna różnica między pospolitą daturą, nazywaną potocznie zieleń Jimsona albo śmierzuchem, a świętą daturą. To, na co patrzysz, to świętą daturą. W przeciwieństwie do swoich skundlonych krewnych, jest rośliną wieloletnią.

- Czytałam o tym. Podobno nie tylko Indianie używali jej do wywoływania wizji. W czasie drugiej wojny światowej podawano ją więźniom w obozach, żeby wyciągać z nich prawdę. - Dotknęła dużego, pokrytego wyrazistymi żyłkami liścia. - Pomyśl tylko, jak łatwo to znaleźć... Taka cholerna trucizna rośnie sobie tak po prostu między kaktusami.

- Owszem. Na południowym zachodzie jest jej pełno.

- Obrzydlistwo.

Tak, miała prawo tak sądzić. Myślała tylko o bracie i nic dziwnego, że pustynia kojarzyła jej się wyłącznie z obrzydliwymi, groźnymi rzeczami i nie potrafiła dostrzec w niej piękna.

Podniosła się i wytarła ręce o szorty.

Paxa przeraził wyraz jej twarzy: nigdy, odkąd ją poznał, nie była tak spokojna, zimna i tak cholernie opanowana.

- Kansas... wiem, że się martwisz. Pewnie zastanawiasz się, co tam zastaniemy...

- Nie.

- Nie ma sensu rozważać najgorszej wersji scenariusza, ale ratowałem ludzi w różnym stanie. Mam mnóstwo lekarstw i potrafię je dawkować. A jeśli uznam, że ta banda małolatów jest niebezpieczna, uciekniemy i sprowadzimy policję. Wiem, że się denerwujesz, ale z każdej sytuacji jest jakieś wyjście.

Uśmiechnęła się blado i pokręciła głową.

- Niczego nie możemy przewidzieć, wszystko może się zdarzyć, ale nie martw się, jestem naprawdę spokojna. Kocham mojego brata i cokolwiek by się działo, wyciągnę go ze szponów sekty.

Nic nie mogło go bardziej dotknąć niż ten jej chłodny, beznamiętny głos. Nie odpychała go, ale czuł, jak odgradza się przed nim niewidocznym murem. Nie prosiła go o pomoc ani otuchę. Nie potrzebowała go.

Musiał wziąć się w garść. To nie była pora na uczuciowe rozterki. Za następnym zakrętem przystanął gwałtownie i oparł się ciężko o skałę. Kansas wstrzymała oddech. Sto metrów dalej, nad małym owalnym płaskowyżem unosił się dym z ogniska. Zobaczyli kilkanaście namiotów

wokół ułożonego z kamieni kręgu i kilka zabiedzonych koni. W obozowisku panowała cmentarna cisza. Żadnych śladów życia.

Zrzucili z ramion plecaki. Pax ruszył pierwszy w stronę największego namiotu, rozglądając się na boki. Wszędzie były rozrzucone ubrania i buty. Puszki z jedzeniem i plecaki. Przy ognisku ołtarz z wapiennej skały i mnóstwo wypalonych świeczek, zatopionych w kałużach zastygłej parafiny. Odruchowo zacisnął szczęki.

Uchylił płachtę namiotu, który musiał należeć do „wodza”. Nagi, wychudzony chłopak z rozczochranymi włosami zmrużył gwałtownie oczy, jakby oślepiło go słońce.

- Co za... kim ty jesteś?

- Doktor Moore. Szukam Case'a Walkera. Możesz pokazać mi jego namiot?

- Jaki masz do niego interes?

- Chcę z nim pogadać. Jego siostra jest ze mną. Możemy sami go znaleźć, ale chyba nie ma sensu budzić wszystkich. Mamy sprawę tylko do niego.

Chłopak wychylił się z namiotu, spojrzał na Kansas i z powrotem na Paxa.

- Hej, człowieku, my tu nie robimy nic złego. Jesteśmy w porządku. Nikomu nie wchodzimy w drogę.

- Nie obchodzi mnie, co wy tu robicie. To nie mój interes. Chcę tylko porozmawiać z Case'em.

Chłopak wahał się przez chwilę, potem wzruszył ramionami i pokazał mały namiot w środku obozu.

- Chyba tam się wczoraj uwalili.

Poszło tak łatwo. Żadnego problemu, żadnych kłopotów. Wódz ziewnął i opuścił klapę swojego wigwamu.

Kansas pobiegła do wypłowiałego namiotu. Gdy tylko uklękła i wsunęła do środka głowę, Pax był pewny, że rozpoznała brata. Krew odpłynęła jej z twarzy.

- Kansas? To naprawdę ty? Skąd tu się wzięłaś... Jak mnie znalazłaś... Co..

Kiedy Pax widział go ostatnio, Case był barczystym, przystojnym chłopakiem, o wciąż lśniących oczach i zawadiackim uśmiechu. Teraz miał brudne i zmierzwione włosy, pusty wzrok, zapadnięte policzki. Stracił z dziesięć kilo.

- Kansas... - powiedział znowu i chociaż siostra odpowiedziała mu i mówiła do niego bez przerwy, Case wciąż tylko powtarzał jej imię.

Głos Kansas był kojący i delikatny. Niczym nie zdradziła się, jak bardzo jest przerażona.

- Kiedy ostatnio coś jadłeś?

- Nie wiem.

- Zajmiemy się tobą. Pójdiesz teraz ze mną, dobrze? Zostawimy twoje rzeczy, pomyślimy o nich później. Możesz wstać?

Case wyczołgał się z namiotu, ale szedł jak marynarz, który od miesięcy nie stapał po stałym lądzie. Chwiał się, mrużył oczy, ale wciąż patrzył na siostrę i powtarzał jej imię, jak gdyby była jego kotwicą i jedynym ratunkiem. ,

- Tak, Tygrysku, to ja. I przyprowadziłam przyjaciela, który nam pomoże. Wszystko będzie dobrze. Musisz się tylko na mnie oprzeć.

Do Paxa wyszeptała „szpital”. Skinął głową.

Do miejsca, w którym zostawili dżipa, mieli kawał drogi. Pax nigdy jeszcze nie był tak zdenerwowany. Ratował z opresji wielu ludzi i wydawało mu się, że sam poradzi sobie z Case'em, bez względu na to, w jakim chłopak będzie stanie. Miał lata doświadczenia w uspokajaniu dzikich zwierząt i ogarniętych paniką ludzi. Ale Case ufał tylko swojej siostrze i nie było mowy, żeby pozwolił się wyprowadzić z obozu komuś innemu.

Kansas bajdurzyła coś przez całą drogę, podtrzymując brata, który był od niej dwa razy wyższy. Chwilami chłopak szedł prosto, niemal o własnych siłach, ale zaraz potem zaczynał się trząść, bełkotał coś o diabłach, widział złe duchy w każdym kaktusie i w każdej chmurce. Bez przerwy prosił o wodę. Zatrzymywali się co rusz, poili go i próbowali wcisnąć do ust jakieś jedzenie.

Pax pamiętał, jak Kansas dostawała ataku hysterii na widok tarantuli. A teraz, kiedy miała aż nadto powodów, żeby upaść na duchu, była spokojna jak głaz. Zbyt wiele czasu zajęło mu zrozumienie, że jej wrażliwość i nieprawdopodobna siła idą ze sobą w parze.

Zawieźli Case'a do szpitala w Sierra Vista. Po wstępnym badaniu doktor Lowrey zaprosił ich do gabinetu.

- To może trochę potrwać, ale Case nie powinien mieć kłopotów z całkowitym odzyskaniem zdrowia. Nic nie wskazuje na trwałe uszkodzenie organów, czego obawiałem się na początku. Jest bardzo wyczerpany i odwodniony, ale szybko z tego wyjdzie.

- A psychicznie? - spytała Kansas.

Doktor spojrział nią łagodnym, zmęczonym wzrokiem.

- Jest całkowicie zagubiony i dezorientowany. Wygląda na to, że pani brat nie zdaje sobie sprawy z tego, że był pod wpływem narkotyku.

Mówi, że nigdy niczego nie brał, tylko naturalne zioła. W tym roku to już drugi przypadek zatrucia daturą. W przeciwieństwie do jazgrzy, która też jest znanym roślinnym halucynogenem, datura nie powoduje uzależnienia w takim stopniu jak, na przykład, heroina czy inne twarde narkotyki. Najbardziej obawiałem się skutków kardiologicznych, ale pani brat ma serce jak dzwon. Potrzebuje odpoczynku, jedzenia, dobrej opieki... i czasu. Prawda jest taka, że, świadomie lub nie, zażywał groźną truciznę. Miał szczęście, że w porę go pani znalazła.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, a kiedy lekarz wrócił do swoich zajęć, zeszli do holu. Kansas zawiadomiła rodziców i postanowiła czuwać przy bracie przez całą noc. Pax rozumiał ją, ale ogarnęło go uczucie pustki. Nie chciał zostawiać jej samej w tym pęsnym, bezosobowym otoczeniu. W ogóle nie chciał jej zostawić.

On też miał jednak kilka spraw do załatwienia.

- Dobrze. Zbieram się stąd i jadę do szeryfa.

- Mam nadzieję, że go przekonasz. Słabo mi się robi na myśl o tym, że reszta tych szczeniaków mogłaby tam spędzić jeszcze jedną noc.

- Postaram się... i przywiozę ci jutro jakieś rzeczy.

- Dzięki. - Po raz pierwszy tego dnia Kansas uśmiechnęła się. - Jutro rano będę marzyła o szczoteczce do zębów. - Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. - Dziękuję ci. Za wszystko.

Powiedziała mu tylko dobranoc, nie dała do zrozumienia, że to koniec znajomości. Miała za sobą długi, wyczerpujący dzień i ledwie trzymała się na nogach. I nie zamierzała zatrzymać Paxa; nie potrzebowała go, a on musiał zobaczyć się z szeryfem, nakarmić zwierzęta, zająć się nimi. Ale ten pocałunek był jak pożegnanie. Przypomniał mu, że jak tylko Case wydobrzeje i opuści szpital, Kansas wyjedzie.

Opuści go na zawsze.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kansas tkwiła na tarasie widokowym, dopóki samolot nie zniknął jej z oczu. Zadanie wykonane. Jej brat leciał do domu, rodzice mieli go odebrać z lotniska w Minneapolis. Case'owi wiele jeszcze brakowało do odzyskania dawnej formy, ale ich mama, od kiedy tylko dowiedziała się o całej historii, odnalazła w sobie żelazny hart ducha i gotowa była walczyć o syna jak lwica. Case nie mógł trafić w lepsze ręce.

Kansas, kompletnie rozstrojona, ruszyła do samochodu. Case miał zapewnione wsparcie, jednak, co do siebie, niczego nie mogła być pewna.

Pojechała prosto do sklepu spożywczego, żeby zdobyć kilka kartonów. Będzie musiała zostać jeszcze trochę w Arizonie. Czeką ją pakowanie rzeczy Case'a, wysłanie ich do domu, opłacenie rachunków, zlikwidowanie konta bankowego brata, rozliczenie się z właścicielem wynajętego domu.

Gdyby stanęła na głowie, poradziłaby sobie ze wszystkim w jeden dzień. Bez żadnego pośpiechu, w trzy dni. Żadnym cudem nie mogła tego planować na tydzień, ale na samą myśl o wyjeździe jej serce biło jak szalone.

Powtarzała sobie uparcie, że sprawa jest oczywista: nie można stracić mężczyzny, którego tak naprawdę nigdy się nie zdobyło. Wynajdywanie pretekstów, dla których powinna tu zostać, nie zmieniało istoty rzeczy. Nie mogła jaśniej wyrazić Paksowi swoich uczuć. Jeżeli nie

doczekała się odzewu, to może nie kochała go tak, jakby tego pragnął. Albo on wcale nie potrzebował jej miłości.

Jednak godzinę później, kiedy wjeżdżała na podjazd wyładowanym pod sufit samochodem, Pax czekał na nią. Przyjechał starym, zdezelowanym dżipem, którego nigdy przedtem nie widziała. Stał z rękami wciśniętymi w kieszenie, ze zmęczoną, osowiałą twarzą.

Podszedł szybkim krokiem, gdy zobaczył stos pudeł na tylnym siedzeniu.

- Wpadłem, żeby ci opowiedzieć, jak to się skończyło. Szeryf zorganizował akcję. Ściągnął rodziców, pomoc medyczną, miejscowych ranczerów, strażników przyrody. Zlikwidowali obóz i zabrali wszystkie dzieciaki.

- Dzięki Bogu - westchnęła, rzucając na podłogę kartony. - Zastanawiam się, czy ktokolwiek z nich zdawał sobie sprawę, w co się pakuje. Case naprawdę nie miał skłonności do narkotyków. Szukał własnego sposobu na życie. To przerażające, jak łatwo można dać się wciągnąć w takie bagno. A zaczyna się od niewinnych, religijnych czy pseudofilozoficznych fascynacji. - Pokręciła bezradnie głową. - Tak się cieszę, że szeryf zrobił z tym porządek. Nikt nie kiwnąłby nawet palcem, gdyby nie ty, Pax.

- Tak, to możliwe... Wszyscy zlekceważyli pierwsze sygnały. Już dawno słyszeliśmy różne niepokojące plotki i nikt w porę nie zareagował.

Jakie to typowe dla Paxa: przyznawać się do odpowiedzialności, ale nigdy do zasług! Dzisiaj jednak Kansas zupełnie nie miała ochoty na sprzeczkę. Chciała na niego patrzeć, chłonąć jego bliskość.

Po raz pierwszy odkąd go poznała, był taki... nieswój. Zamyślony, przestępował nerwowo z nogi na nogę, wyraźnie unikając jej wzroku.

- Widzę, że się pakujesz. Chyba powinienem najpierw zadzwonić...

- W porządku. Cieszę się, że wpadłeś.

- Jesteś zajęta... ale może znalazłabyś dzisiaj trochę czasu? Kilka godzin...

- Jasne, pakowanie może poczekać.

- Mam pewną propozycję... Wiem, że dla ciebie pustynia to koszmar.

Nic ci się tutaj nie podoba. Przez cały czas martwiłaś się o brata, wcale ci się nie dziwię, że nie miałaś głowy do podziwiania przyrody. Ale zanim wrócisz do domu, chciałbym ci pokazać moją pustynię. Żebyś nie wyjechała z przekonaniem, że Arizona to tylko upał, zmęczenie i robale...

Och, Pax, pomyślała ze ściśniętym sercem, tak bardzo nie chcę stąd wyjeżdżać. Ale odpowiedziała radośnie:

- Jeśli chcesz, możemy jechać choćby zaraz.

Pax odsłonił dach i skręcił w dwupasmową szutrową drogę. Jego nowe terenowe auto było wygodniejsze, ale w trudnych warunkach nie umywało się do starego, wysłużonego dżipa. A chciał jej pokazać naprawdę dziewiczą pustynię, najpiękniejsze miejsce w tych okolicach. Widziała gołe skały, daturę i jadowite pająki. Ale nie miała okazji zobaczyć rzeczy naprawdę zachwycających.

Pustynia rozkwitała zaledwie na mgnienie oka. Właśnie teraz. Ale żeby docenić jej piękno, trzeba było wiedzieć, czego szukać. Jednym z kwitnących o tej porze kaktusów była Tęcza Arizony, z wielkimi, intensywnie różowymi kwiatami. Królowa Nocy w dzień wiodła, wyglądała niepozornie, a dopiero z nadejściem nocy rozwijała pachnące kwiaty. Kolczasta Santa Rita pyszniła się drobniutkimi kwiatuskami o przyciągającej wzrok cytrynowożółtej barwie.

Wszystkie kwiaty pustynne były delikatne i wrażliwe, i żyły bardzo krótko. Jak Kansas, doszedł nagle do wniosku Pax. Serce w nim zamierało, kiedy myślał o jej wyjeździe. Ogarnęło go przeraźliwe uczucie, że razem z nią straci wszystko. To tak, jakby nigdy więcej miał nie zobaczyć wschodu słońca. Otworzyła w jego sercu drzwi, które wydawały się na dobre zamknięte. Ale nie zdobył się na to, żeby powiedzieć jej, co czuje. Nie miał pojęcia, jak to zrobić. Wiedział tylko, że Kansas nie może wyjechać, dopóki nie dowie się, jak bardzo zmieniła jego życie.

Poczuł nagle smród spalenizny. Moment później spod kłapy silnika zaczął wydobywać się dym. Wcisnął hamulec.

- Co się stało? - spytała cicho Kansas.

Nie powinno się nic stać. W tej części kraju każdy mężczyzna dba o samochód jak dobry kowboj o konia. I Pax dbał o swój pojazd. Dżip był przecież świeżo po przeglądzie... Kiedy zapaliła się czerwona lampka wskaźnika temperatury oleju, wyłączył silnik.

- Nie martw się - mruknął, ocierając pot z czoła.

- Nie martwię się.

- Nie mam pojęcia, co się temu samochodowi stało, ale dam sobie radę. Nie denerwuj się.

- Przestań - powiedziała łagodnie. - Wiem, że wszystko będzie w porządku.

Jasne, co innego mogła powiedzieć. Wsiadł z samochodu i rozejrzał się wkoło. Żadnych domów, ludzi ani samochodów w zasięgu wzroku. Niech to szlag... Właśnie dlatego ją tutaj przywiózł. To pustkowie było jego prywatnym rajem.

Kansas wysiadła z samochodu i włożyła śmieszny, wielki kapelusz w żółte kwiaty. Wyglądała tak zabawnie, że musiał się uśmiechnąć.

Otworzył szybko maskę i podparł ją prętem, by zajrzeć do silnika. Diabli wiedzą, jak to się stało. Może patrzył na ten kapelusz. Może był zbyt zdenerwowany. Tak czy inaczej musiał niedokładnie zamocować pręt, bo kłapa silnika opadła. Udało mu się odchylić na tyle szybko, żeby uratować głowę, ale nie zdążył cofnąć ręki. Kłapa uderzyła go w nadgarstek z taką siłą, że wszystkie gwiazdy stanęły mu przed oczami.

- O Boże! - Kansas w jednej sekundzie była przy nim.

- Nic się nie stało. Nic mi nie jest.

- Cholera, rzeczywiście nic ci nie jest! - Ręka była czerwona i puchła w oczach.

- Zaraz mi przejdzie... - powiedział Pax przez zaciśnięte zęby, rozpoznając u siebie pierwsze objawy wstrząsu: wilgotne dłonie, pustka w głowie.

- Ja bym na twoim miejscu płakała jak bóbr. Nie chcesz sobie chociaż trochę pojęczeć?

Kansas nie traciła poczucia humoru, nie zdając sobie oczywiście sprawy z tego, w jak poważnych znaleźli się tarapatach. Błyskawicznie ocenił sytuację. Dżip był bezużyteczny. Pax przypuszczał, że jakiś ostry kamień przedziurawił chłodnicę. Nie mógł zadzwonić po pomoc, bo zostawił telefon w drugim samochodzie. Celowo zresztą, bo chciał przez te kilka godzin pobyc tylko z Kansas, nie zaprzętać sobie głowy innymi sprawami.

Nie widział żadnego dobrego wyjścia z sytuacji. Nie przypuszczał, że mógłby mieć złamany nadgarstek, ale na razie nie był w stanie nim poruszyć. O tym, żeby wracać pieszo w taki upał, nawet nie mogło być mowy.

Pod wieczór mogli wyruszyć, ale teraz pozostawało jedynie czekać gdzieś w cieniu, aż się ochłodzi. Nie było jednak cienia, a to oznaczało, że sami muszą go sobie stworzyć, wykopując dół pod samochodem i to wystarczająco głęboki, żeby oboje się w nim zmieścili.

- Wiesz co, rudzielcu? - odezwał się smętnie. - Chyba nie dam rady tego zrobić.

- Jasne, że nie dasz rady. Dobrze, że mnie zabrałeś, co? Swoją drogą, dawno nie przeżyłam prawdziwej przygody.

To była katastrofa, a nie przygoda, pomyślał Pax. Kansas nigdy nie zrozumie, dlaczego pokochał pustynię, nigdy nie pozna jej piękna.

Tymczasem Kansas sprawiała wrażenie, jakby nigdy nie była szczęśliwsza. Znalazła w bagażniku turystyczną łopatkę i zabrała się z werwą do pracy. Kiedy skończyła kopać, jej białe szorty nadawały się do wyrzucenia, włosy i szyję miała oblepione piaskiem, straciła lakier na paznokciach i zgubiła jeden kolczyk.

O czwartej po południu wciąż była w znakomitym humorze. Nie wspomniała słowem o głodzie, nie narzekała na upał ani na zmęczenie. Obwiązała Paksowi nadgarstek mokrą szmatką i opowiedziała wszystkie pieprzne kawały, jakie zdołała sobie przypomnieć. A repertuar miała bogaty. Przeszła do równie pikantnych wierszowanek, kiedy nagle oboje usłyszeli pomruk silnika.

- Aha... - Kansas wychyliła głowę. - Nasz potencjalny wybawca. Wcale nie chce mi się stąd ruszać, ale chyba wyczołgam się i wystawię na wabia nogi. Chociaż... - uraczyła

Paxa łobuzerskim uśmiechem - na widok moich patyków facet zamiast się zatrzymać, gotów przyspieszyć.

Ranczer zatrzymał się jednak, wezwał przez telefon pomoc drogową i uparł się, że odwiezie ich do domu Paxa. Kansas przystała na ten plan, bo pan doktor zdecydował, że jego nadgarstek został już znakomicie opatrzony i nie wymaga dalszych zabiegów lekarskich. Gdy tylko dotarli do domu, przekonała Paxa, że powinni jednak pojechać do chirurga.

Przyzwyczajony do ratowania wszelkich żywych stworzeń, zdecydowanie gorzej czuł się w roli pacjenta. Lekarz zrobił mu prześwietlenie, podał środki przeciwbólowe i przeciwzapalne, a potem zabandażował rękę. Nie czekając, aż Kansas wysłucha do końca zaleceń chirurga, Pax uciekł z gabinetu, przerażony jak dziecko.

Zawiozła go do domu i, nie czekając na zaproszenie, weszła z nim do środka. Najpierw nakarmiła i wygłaskała wszystkie koty, potem w błyskawicznym tempie zrobiła obiad, pozmywała naczynia i w końcu, kiedy już nic nie miała do roboty, zatrzymała się na środku kuchni i zmierzyła Paxa przenikliwym wzrokiem.

- Wyglądasz tak, że chyba najbardziej poturbowany z twoich kotów wstydziłby się przyprowadzić cię do domu. Mógłbyś straszyć dzieci na ulicy.

- Tak? Ty też jesteś trochę zmarnowana.

- No właśnie. Pora na prysznic. Chcesz następny proszek przeciwbólowy?

Nie chciał żadnych proszków. Pragnął o wszystkim zapomnieć. Tak bardzo liczył na to, że ten dzień spędzą tylko we dwoje. Miało być pięknie i romantycznie. Dbał o innych przez całe swoje dorosłe życie, ale to Kansas była jedyną kobietą na świecie, o którą chciał zadbać naprawdę. A zamiast tego zrobił z siebie offermę.

Kansas, z błyskiem w oczach, musztrowała go jak kapral rekruta.

- Biedactwo, osłonimy ten bandaż plastikową torbą, żeby się nie zamoczył pod prysznicem. I chyba pomogę ci się rozebrać.

Nadgarstek był spuchnięty, bolał jak diabli, ale od takich rzeczy się nie umiera. Nikt go w życiu nie niańczył, do stu diabłów, i sam potrafi się rozebrać! Kansas pobiegła po plastikową torbę i świeże ręczniki. Potem znalazła w szafie czyste ubrania i odkręciła prysznic. Najwyraźniej zamierzała asystować mu do końca przy rozbieraniu, bo stała z rękami na biodrach i upartą miną, lekceważąc wahanie w jego oczach.

Więc pocałował ją...

Pragnienie tego pocałunku wzbierało w nim przez cały dzień, może od czasu, kiedy się ostatnio kochali, a może... przez całe życie. Nie powstrzymałoby go nawet tornado.

Kansas znieruchomiała. Jakby wyparowała z niej cała energia. Stała spokojnie, upajając się jego czułym, głębokim, nie kończącym się pocałunkiem, aż obojgu zabrakło tchu w płucach.

- Pax...

- Hej - odpowiedział uśmiechem na pytanie w jej oczach. - Nie tylko mnie przydałby się prysznic... - Wszedł do kabiny i wciągnął Kansas za sobą. Wybuchnęła śmiechem. Wciąż była w ubraniu. Rozbierał ją jedną ręką, nie spiesząc się, potem namydlił całe ciało, wmasował szampon we włosy. Kiedy oboje byli umyjni, Kansas przestała się śmiać. Patrzyła na Paxę, z błagalnym zaproszeniem w zamglonych, niebieskich oczach.

Nie mógł jej zanieść do sypialni, ale przecież znała dobrze drogę. Kołysząc biodrami, pozbyła się ręcznika jak urodzona striptizerka i popchnęła go na łóżko.

- Posłuchaj, kochanie - szepnęła - z tym nadgarstkiem nie nadajesz się dzisiaj do zapasów. Będziesz sobie grzecznie leżał i pozwolisz się rozpieszczać.

Źle to wymyśliła! To ona potrzebowała pieśczości i czułości. Spuchnięty nadgarstek nie był dla Paxa żadną przeszkodą. Przez całe życie szukał spokoju. Kansas przewróciła wszystko do góry nogami. Zanim ją poznał, ukrywał głęboko wszelkie uczucia. Ona wyszarpnęła mu je z serca i wystawiła na słońce. Przeraziła go swoją impulsywnością. Wtykała nos w jego prywatne życie. A, co najgorsze, otwarcie go akceptowała. Nie za jego siłę i cechy, które cenili w nim ludzie, tylko za to, kim był.

Kochała go chyba najbardziej wtedy, gdy pozwalał sobie na okazanie słabości. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo różni się od innych kobiet. Świadomość, że Pax nie potrafił jej powiedzieć, ile dla niego znaczy, bolała jak otwarta rana.

Chciał, żeby wiedziała, iż jest kochana. Pragnął, żeby czuła, jak bardzo jej pożąda. Więc kochał się z nią łagodnie i niespiesznie. W taki sposób, w jaki powinien zrobić to dawno temu.

- Och, Pax - szepnęła ukojona i szczęśliwa. - Pax... Tak bardzo cię kocham.

Opadł w jej ramiona, niezdolny wydusić z siebie słowa. Jutro, myślał na wpół przytomnie, będą mieli czas na rozmowę. Przeżyli wyczerpujący dzień. Jutro powie, jak bardzo ją kocha. Przytulił ją mocniej i zamknął oczy.

Ale rano, kiedy się obudził, Kansas już nie było.

Miała dużo szczęścia, że udało jej się kupić bilet bez wcześniejszej rezerwacji. Oddała bagaż i przeszła do części lotniska przeznaczonej dla oczekujących pasażerów. Prawie wszystkie krzesła były puste. Miała

ponad godzinę do odlotu, ale nie mogła usiedzieć w miejscu. Podeszła do przeszklonej ściany i utkwiała wzrok w bladoniebieskim, rozświetlonym niebie.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że się na to zdobyła. O piątej rano wyszła od Paxa, pojechała do domu Case'a, spakowała resztę jego rzeczy, a potem swoje.

Nie mogła zostać ani dnia dłużej. Postawiła wszystko na jedną kartę i przegrała. Dla Paxa sama potrzeba miłości była przejawem słabości. I choćby rozpaczliwie pragnął kogoś pokochać, jego strach przed utratą niezależności okazał się silniejszy.

- Pasażerów odlatujących samolotem rejsowym numer 346 prosimy do odprawy biletowej przy wejściu numer sześć...

Zapowiedź jej lotu! Ustawiła się na końcu kolejki, dopiero teraz zauważając, że otacza ją tłum ludzi. Prawie wszyscy mieli na sobie ubrania w kolorze khaki albo piaskowym. Jej jaskrawozielona bluza musiała rzucać się w oczy... Nic ją to nie obchodziło.

Ludzie zawsze oceniali ją po wyglądzie i widzieli w niej słabą, bezbronną istotę. Ale ona była silna. Tylko Pax to zrozumiał. Doszła do wniosku, że był pierwszym mężczyzną, który docenił jej wewnętrzną moc. Cechę, z której zawsze była dumna.

Ktoś zaczął bębnić w szybę za jej plecami. Nie odwróciła się, zajęta szukaniem biletu. Powinien być w torbie, na pewno go tam chowała, a może nie... Wyrzała przez okno i wtedy zobaczyła swoją zgubę. Pewnie upuściła bilet, kiedy gapiała się w niebo. Łzy napłynęły jej do oczu. Zaczęła biec, nic nie widząc, i nagle wpadła na coś twardego. Miała wrażenie, że to ściana, ale silne męskie ręce zacisnęły się na jej ramionach.

- Kansas, do diabła. Ukradłaś mój samochód. Musiałem zerwać z łóżka sąsiada... Nie wiedziałem, gdzie jesteś. Pojechałem najpierw do domu Case'a. Pomyślałem, że wyjechałaś... Że cię utraciłem.

Zapomniała o samolocie.

- Nie chciałam ukraść ci samochodu, ale nie miałam innego wyjścia. Pomyślałam, że tak będzie lepiej. Że łatwiej ci będzie, jeśli zniknę...

- Nie chcę, żebyś zniknęła. Nigdy, rozumiesz? Proszę cię, żebyś została.

- Została?

- Wiem, że nie znosisz pustyni. Ale jeśli dasz mi trochę czasu, może zmienisz zdanie. Moglibyśmy spróbować. A jeśli się nie uda, spakujemy manatki i pojedziemy do twoich zielonych lasów w Minnesocie. Wszystko mi jedno! Możemy mieszkać nawet na Antarktydzie. Kansas, proszę cię przestań płakać.

- Ryczałam z powodu biletu. Myślałam, że go zgubiłam.

- No jasne. - Otarł łzę z jej policzka. - Domyślam się, że płaczesz tylko wtedy, kiedy masz ku temu bardzo ważne powody. Straszna z ciebie ofiara!

- Mówiłam ci.

- Wiem, że mówiłaś. A ja od początku ci nie wierzyłem. Jesteś szalona i lekkomyślna. Ale nie znam silniejszej kobiety od ciebie. Długo do tego dojrzywałem... ale bardzo cię kocham.

- Nie wierzyłam, że kiedykolwiek to powiesz.

- Nie umiałem. Człowiekowi, który żyje na pustyni, trudno wypowiadać takie słowa. Myślę, że kocham cię od zawsze, czekałem na ciebie przez całe swoje samotne życie. Ale musisz być cierpliwa,

rudzielcu. Będę się starał, ale może mi to zająć pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt lat, zanim nauczę się być tak otwarty jak ty.

- Pięćdziesiąt lat? - powtórzyła zdumiona.

- Wiem, że to odległa perspektywa, ale może zaczniemy od obrączek i gromadki dzieci. Przysięgam, że pozbędę się kotów.

- Uwielbiam koty.

- W takim razie zatrzymujemy je.

- Podoba mi się nawet twoja pustynia. Nie wiem, jak to się stało, ale polubiłam upał w Arizonie. Pax? Nie wiem, czy zauważyłeś, że właśnie odleciał mój samolot. Ze wszystkimi moimi ciuchami.

- Zapomnij o ciuchach. Długo jeszcze nie będą ci potrzebne.

- A ty zapomnij o spokojnym życiu, doktorku. Mam zamiar sprawić ci mnóstwo kłopotów.

- Mam nadzieję, że dotrzymasz obietnicy.

- O tak! Zabierz mnie do domu, kochanie.

